Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 21 lipca 1935 r. Nr. 29.



Do ciebie...

Do ciebie ciche pieśni me płyną
Droga dziewczyno z ukrycia,
Do ciebie leci dusza ma smutna,
Bo zawsze kocham nad życie.

A kiedy nocą
Gwiazdki migocą
Na niebie,
Wówczas dziewczyno
Myśli me płyną
Do ciebie.

Do ciebie płynie pieśń mojej duszy —
Wśród nocnej głuszy targa snem
Boś ty dziewczyno, droga, nieznana
Nad świat kochana sercem mem.

A kiedy nocą
Gwiazdki migocą
Na niebie
Mknie moje serce
W niemej rozterce
Do ciebie.

Wierzaj — kiedy nocą
Gwiazdki zamigocą
Na niebie
ciekawsze,
To wszystko porzucę
I znowu powrócę
Do ciebie
Na zawsze.

„ORD-OM“.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

12)

— Ledwo mu wytłumaczyłam, że Oleg bardzo byłby niezadowolony z tej wycieczki i miałabym scenę zazdrości w domu.

— Nie posądziłabym pana rotmistrza o zazdrość — zauważyła zjadliwie pani Wisia.

Była ładna, w miarę zalotna i lubiła podobać się.

Powodzenie tej nieciekawej i nieładnej pani Gabryni drażniło jej miłość własną.

— Zależy jak o kogo — odcięła się znacząco pani Gabrynia.

W czasach przedwojennych, gdy dorastała, zbytnie powodzenie mężatek było źle widziane w towarzystwie i takie panie narażały się na bojkot towarzyski, często nawet zupełnie nieuzasadniony.

Ale powojenna psychika zmiotła wszystkie tego rodzaju uprzedzenia i celem każdej kobiety jest mieć „powodzenie", by należeć do towarzystwa, by nie zasłużyć sobie na nazwę nudnego „przeżytka".

I panią Gabrynię bawiło zainteresowanie jakie budziła jej osoba. Miała wrażenie, że jest jakąś dawno zapomnianą rzeczą, uważaną za mało ozdobną i jako taką zasuniętą w kąt szuflady lub szafki, którą czyjaś kapryśna ręka wyciągnęła z ukrycia, odkurzyła, oczyściła i raptem rzecz ta uznana została za cenne dzieło sztuki i podziwiana bezkrytycznie.

Oczy przybyłych pań zaiskrzyły się.

Była pewna, że powiedzenie jej pójdzie dalej, przebiegnie koszary i przestrzeń dzieląca je od mieszkania szefa sztabu, zapuka do drzwi energicznie i czemprędzej wciśnie się do ucha dystyngowanej podstarzałej, zazdrosnej żony młodego męża.

To było jej celem.

Panie przyszły z propozycją, by wzięła udział w urządzeniu choinki dla biednych dzieci, uczęszczających do szkoły powszechnej niedaleko fabryki. Każda z pań podjęła się dostarczenia paczki łakoci i sukienki, fartuszka lub pary ciepłej bielizny.

Nawet majstrowe wzięły w tej pracy udział.

Naturalnie, że się zgodziła i obiecała swoją współpracę i udział materjalny.

* * *

Personel fabryczny urzędniczy urządził „Sylwestra". Zabawa miała zacząć się kolacją wspólną, a skończyć balem, na który zaproszone zostały „wyższe sfery" wojskowe i cywilne i znajomi.

Po kolacji, która zaczęła się o jedenastej, a skończyła tuż przed północą zabrano się do tańca. Zaproszeni goście zjeżdżali się tłumnie, witani marszami i fanfarami.

Z uderzeniem godziny dwunastej zgasły światła. Na ścianie sali pojawił się świetlnie, różnokolorowo rok 1925, by, blednąc stopniowo, rozpłynąć się w ciemności.

Nowy snop światła rzucony na salę zamigotał jaskrawo, formując się z kolei w rok 1926.

Zabłysły lampy elektryczne, zabrzmiała muzyka triumfalnym marszem.

Na salę wniesiono tace z kieliszkami, napełnionemi winem.

Pierwszy kieliszek z toastem na cześć Nowego 1926 roku podniósł dowódca dywizji.

Za jego przykładem poszli inni, zachowując jednak hierarchię starszeństwa.

Pułkownikowi nagle przypomniała się inna noc sylwestrowa parę lat wstecz. Przypomnienie to przyszło tak niespodziewanie, że aż zatrząsł się z wrażenia i odsunął kieliszek od ust.

— — — — — — — — —

Była to noc taka sama jak dziś, jasna, mroźna; śnieg leżał na placu przed budynkiem i het na polach poza ogrodzeniem.

Kwaterowało ich czterech oficerów w dużej sali, a każdy czuł się samotny. Poszli spać wcześnie, by przespać tę noc przełomową, tak pełną wspomnień. Udawali że śpią, chcieli oszukać współtowarzyszy, by uniknąć rozmów i zwierzeń. Nie spali inni, nie spał i on.

Odwrócony twarzą ku oknu patrzył w śnieżną dal i cierpiał.

W tę noc noworoczną nie miał nic i nikogo, na kim spoczęłaby jego myśl rozgoryczona.

Rodziny bliskiej nie miał, narzeczona porzuciła go i to dla moskala.

— Myślałam, że nie żyjesz — pisała na swe usprawiedliwienie — nie odzywałeś się tak długo. „Sieroża" był tak pełen współczucia dla mego smutku i tęsknoty, że pokochałam go...

Sam jeden... i w życiu i w tę noc...

— Sam jeden... nie.... nie sam... Z zachodniej strony oderwał się od horyzontu biały obłoczek i płynął ku niemu. Gdy już był blisko, prawie przy oknie, wyjrzała z niego jasna twarz pani Gabryni. Uśmiechnęła się do niego i wyszeptała: — nie jesteś sam...

Zapomniał o tęsknocie, o bólu niemocy, co przeżerał mu duszę i nerwy. Serce jego zalała słodycz bezmierna. — Jak mógł zapomnąć.

— Nie jest sam, bo ma Gabrynię...

— — — — — — — — —

Postawił kieliszek na tacy i przesuwając się wśród rozbawionego tłumu wyszedł na dwór.

Owiało go świeże, mroźne powietrze, ale nie czuł chłodu. Szedł raźno po śniegu, skrzypiącym mu pod stopami, kierując się do mieszkania rotmistrzów Gozdawa. Przez zasunięte firanki sączyło się światło z kilku okien. — Nie spali. —

Zadzwonił lekko. W ciszy nocnej doszedł go stuk odsuwanego krzesełka, skrzyp drzwi i lekkie kroki.

Szczęknął zamek i znalazł się twarzą w twarz z panią Gabrynią.

— Przyszedłem złożyć państwu życzenia Noworoczne — odezwał się od progu, widząc zdziwienie w oczach pani Gabryni.

Uśmiechnęła się zachęcająco.

— Proszę. —

— Oleg, pan pułkownik przyszedł — wołała do męża.

Weszli do pokoju.

Jasno oświetlony, ciepły, mimo zimy, ozdobiony kwitnącemi kwiatami robił miłe, przytulne wrażenie.

Na stoliku stała butelka wina, kieliszki, biszkopty.

— Nie chcieli państwo przyjść do nas — przyszedł Mahomet do góry — żartował, witając się z rotmistrzem.

Pani Gabrynia napełniła kieliszki i podsunęła tackę gościowi.

— Na długą pomyślność. —

Spojrzeli sobie w oczy mocnym badawczym wzrokiem, od którego zamrugały powieki kobiety, a twarz mężczyzny pobladła.

Drżącą ręką postawił kieliszek i próbował uśmiechnąć się ściągniętemi bolesnym kurczem wargami.

— Nie darmo — pamięć i sumienie — są uznane przez kościół katolicki za najgłówniejsze przymioty duszy.

Można oszukać ludzi, można zatrzeć w ich pamięci wrażenie i wspomnienie czynów i słów, popełnionych, lub wypowiedzianych nieoględnie, albo z rozmysłem.

Napróżno. Nie ucieknie się im. Idą w ślad, stają przed duszą mściciele groźni i nieubłagani, i szepcą natrętnie, a zjadliwie.

— Czy pamiętasz tam... wtedy... zapomnąć chcesz... oszukać własne sumienie?...

— A tego, lub tą przypominasz sobie?...

— A czy wiesz ile łez gorzkich tej — lub owego padło na twoją duszę...

— Uczciwym się miewasz... ty... ha... ha...

I tak dalej... i tak wkółko... jazgocą i syczą w człowieku nieznane moce.

— Bóg za dobre czyny nagradza, a za złe karze — uczy katechizm. Tą karą za złe czyny są właśnie pamięć i sumienie. Od nich ni uciec, ni skryć się nie można. Skradają się za człowiekiem, i w ciszy nocnej, i w chwili przebudzenia, i w gwarze wesołej rozmowy, i w wirze zajęć, lub zabaw, i w chwilach wytchnienia i oczarowania. Groźne i nieubłagane idą w ślad, drepczą cierpliwie i szepcą i syczą i naigrawają się, a uciszyć lub odpędzić ich nie można, nie jest się w stanie.

Mówią o człowieku, który ma ludzkie krzywdy na sumieniu, że „zapija robaka" o innym, że „zabija się" pracą, jeszcze o innym, że „pędzi" go w świat.

Wszyscy oni chcą tym sposobem choć na chwilę odpędzić od siebie pamięć i sumienie — tą karzącą dłoń, ale ona wraca.

— No, muszę ruszać — oznajmił podnosząc się z miejsca — napewno dziwią się, gdzie zniknąłem.

Pożegnał się i wyszedł.

Przed nim na białym śniegu czernił się gmach kasyna rozbrzmiewający muzyką i gwarem, błyszczący od świateł mocnych żarówek, ale on widział przed sobą bezkresne pola śniegowe i własną samotność z przed laty.

— Pamiętasz? — przypominała pamięć.
— Ona jedna jedyna tylko tam wówczas była twojem ukojeniem... szeptało sumienie — a ty?...

Syknął mężczyzna i zrobił ruch, jakby się skręcał z bólu.

— — — — — — — — —

Na sali pierwszą osobą, na którą padło jego spojrzenie była pani Renia.

Stała w gronie panów śliczna, laleczka promieniejąca młodością i wdziękiem, pozwalająca im napawać się jej czarem. Na widok zziębniętej, przygasłej twarzy męża uniosła pytająco brewki.

Kiwnął jej uspokajająco głową i podszedł do pań.

— Gdzie zawieruszyłeś się tak długo — spytała go, gdy po chwili znalazła się obok męża w pewnem oddaleniu od gości.

— Byłem z życzeniami u Gozdawów.

Zacięła wargi i rozbawienie uleciało z jej oczu.

— Po co? — rzuciła szybko i gniewnie — chyba żeby mi zrobić przykrość, nawet w dzień Nowego Roku.

— Jesteś nierozsądna i rozkapryszona — odrzucił ostro, a widząc, że jest bliska płaczu, dodał już łagodniej... nie rób sceny, ludzie na nas patrzą. Kocham cię... nawet nie jesteś w stanie odczuć, jak bardzo cię kocham.

— A jednak byłeś u niej — robiła mu wymówkę już rozpogodzona.

— Musiałem, maleńka, — głos jego brzmiał tkliwie jak pieszczota.

Muzyka zagrała znów — zajazgotał „jazz-band", zapiszczały piszczałki i flet, zagrzmiał bęben i basetla, zastukały pałeczki drewniane.

Koło pani Reni uformował się ogonek, żądnych podrygiwania z nią.

— — — — — — — —

Karnawał tego roku był długi i huczny. Bale odbywały się za balami, dancingom nie było końca.

Pułkownikowa rozbawiła się. Niby barwny motyl fruwała z zabawy na zabawę, prawie, że co wieczór.

Pani Gabrynia nie spotkała się z pułkownikiem od jego ostatniej u nich wizyty na Sylwestra. Z pułkownikową zetknęła się parę razy w mieście, i w tramwaju.

Na balach bywała rzadko, a na wojskowych zabawach prawie nigdy. Nie chciała spotkać się z pułkownikiem Daszkowskim, który w dalszym ciągu bombardował ją telefonami.

— — — — — — — —

DOK. wydaje bal — chlubę i „clou" sezonu. Jest to doroczny przegląd mód i miejsce spotkania się wojskowych wszystkich broni i ludności cywilnej wyższej rangi.

Na bal ten wybrali się i Olgierdowie Gozdawa.

Przyjechali koło północy.

Na sali, w bocznych gabinecikach i przy bufecie panował tłok. Trochę przestronniej było w hallu, ale również trzeba się było przeciskać do szatni.

Gdy pani Gabrynia wchodziła na salę, pierwszą znajomą osobą, którą napotkał jej wzrok, był pułkownik Szneliński.

Wyglądał znudzony, ziewał dyskretnie. Taki był zawsze na zabawach. Nie znosił tłoku i tańców.

Na widok pani Gabryni rozjaśniły mu się oczy. Wyprostował się sprężyście i znów elastyczny, giętki i pełen życia podsunął się ku niej skwapliwie.

Ale nim doszedł do niej, przeciął mu drogę elegancki młody mężczyzna we fraku.



Na zdjęciu widzimy zeszłoroczną zdobywczynię tytułu „Miss Paris" Jeanette Duval.

Na jego przystojnej twarzy odbijało się radosne zdumienie.

— Panna Gabrynia!

Jest już przy niej i całuje jej ręce z zapałem.

— Co pani tu robi?

Uśmiechła się radośnie do niego i ona. Odmłodniała, wyładniała pod tym uśmiechem, jakby zrzuciła z siebie ciężar lat dziesięciu.

— Pan Kazik! A pan co tu robi, skąd się pan tu wziął?

— Jestem zastępcą starosty...

— A ja żoną rotmistrza rezerwy, urzędnika Zakładów Chemicznych.

— Ach tak, więc już nie panna, ale pani Gabrynia.

— Mężatka od pięciu lat — przechwala mu się — i matka dwojga tłustych i zdrowych bobasów.

— — — — — — — —

Mężczyzna przygląda jej się krytycznie.

Patrzył na nią w dalszym ciągu badawczo.

— Nic się pani nie zmieniła, może przytyła trochę.

— A wie pani, że Staszek się ożenił. Mieszka w Królestwie w majątku matki. Rodzinne Kęty wypuścił w dzierżawę. Żona nie chciała tam mieszkać. Utrzymuje, że klimat tamtejszy jej nie służy, a w zamku — jakaś niecnotliwa praprababka straszy po nocach.

Odpowiedziała spokojnie z przyjaznym wyrazem w oczach.

— Nie wiedziałam o tem, ale bardzo się cieszę.

— Wspominał o pani, gdy byłem u nich w lecie; pytał, czy nie wiem, co się z panią stało.

— Dopiero się ucieszy, jak mu napiszę, że spotkałem się z nią.

— Zacny i usłużny był z niego kolega — uśmiechnęła się rzewnie do swoich wspomnień.

— Dobrze im się powodzi — ciągnął dalej pan Kazik. Mają syna, samochód, konie wyścigowe, lokaja i strzelca, jak za dawnych dobrych czasów.

Przypomniała sobie obecność męża. Zwróciła się do towarzysza, ruchem ręki wskazując Olgierda.

— Pozwoli pan przedstawić się memu mężowi.

— Pan Kazimierz Bogatko — mój mąż.

Panowie podali sobie ręce mierząc się badawczemi spojrzeniami.

— Przystojny bestia — przebiegło przez myśl panu Kazimierzowi.

— Niczego, tylko cherlak — osądził Olgierd z lekceważącą pobłażliwością oficera - ułana, co to i do szabli i do tańca i do wypitki gotów o każdej porze.

— Znam panią Gabrynię z dawnych czasów — zagaił rozmowę pan Kazik — jeszcze z naszych czasów studenckich z Berna.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

Ajent policyjny

22)

— O, nie ma pan potrzeby, panie sędzio, zachęcać mnie do tego. Nie zaniedbam niczego, by cel ten osiągnąć. Dziś mieć będę dwóch obserwatorów uzbrojonych, jednego z nich postawię na uliczce Butte, a drugiego w pobliżu bramy hotelu Marienburskiego. Jeżeli temu przeklętemu wspólnikowi przyszłaby ochota odwiedzić raz jeszcze „cnotliwą Annetkę" lub panią Hillerową, to go mieć będziemy. Musi przecież raz i na nas przyjść kolej.

Tutaj zamilkł jednak, gdyż ostrożnenemu ajentowi przyszło na myśl, że sprzedawanie skóry z niedźwiedzia, który jest jeszcze w lesie, jest conajmniej lekkomyślne.

Dopiero po dłuższej chwili milczenia się odezwał.

— Chciałbym prosić pana sędziego — rozpoczął — by mnie zechciał zwolnić na dzień cały, w razie jakiejś nagłej potrzeby, pan sędzia będzie mógł mnie zawezwać przez mego kolegę, starego Nalewajkę. Miałbym bowiem ochotę zużytkować dwa dowody rzeczowe znajdujące się w naszych rękach, a mnie powierzone: list Lacheneura i kolczyk.

— Zgadzam się — odpowiedział p. Segmuller — i życzę ci powodzenia.

Powodzenia!... Młody policjant spodziewał się go.

— Byłbym więcej niż niedołęgą — rozmyślał — gdybym nie odnalazł właścicielki tak cennego klejnotu. Gdy tę odnajdę, to już stwierdzenie tożsamości mordercy nie będzie zbyt trudne.

Poszukiwania rozpocząć należało od stwierdzenia, z jakiego zakładu wyszedł ów kolczyk? Chodzić od jubilera do jubilera i pytać się ich: „czy to pańska robota?" — byłoby to rzeczą trochę niedogodną. Na szczęście Lekok miał inny sposób. Znał mianowicie specjalistę, wielkiego amatora klejnotów, i człowieka wogóle bardzo bogatego, którego policja używała jako eksperta we wszystkich podobnych wypadkach.

Zwolennik precjozów bardzo życzliwie przyjął młodego policjanta. Włożył na nos olbrzymie okulary, obejrzał klejnot bardzo starannie, wreszcie skrzywił się w sposób niemożliwy do opisania i zaopinjował tonem wyroczni:

— Kamień jest wart szesnaście, do osiemnaście tysięcy franków, oprawa ze trzysta; ta ostatnia pochodzi z wytwórni Doisty przy ulicy de la Paix.

W kwadrans potem Lekok był już u słynnego jubilera.

Ekspert dał orzeczenie najzupełniej zgodne z prawdą. Doisty przyznał, iż kolczyk wyszedł z jego zakładu. W księdze sprzedaży odnalazł również z całą łatwością nazwisko nabywcy. Kolczyki były sprzedane przed czterema laty, margrabinie d'Arlange, zamieszkałej na przedmieściu St. Germain, za sumę czterdziestu tysięcy franków.

Dodał nawet, iż należność otrzymał nie bez trudności, kapaniną, po dziesięć, a nawet i po pięć tysięcy franków.

Młody policjant, uradowany, podziękował bardzo grzecznie i wyszedł.

XXX.

Dopóki Lekok znajdował się u jubilera, trzymał na wodzy jako tako swe wrażenia, gdy jednak opuścił sklep — zaczął wprost szaleć z radości. Nie zważając na to, iż się znajduje na ulicy, zaczął tańczyć i śpiewać.

— Zaczynamy nakoniec wypływać na jasne światło — myślał — zbliżamy się do aktorów dramatu i już wkrótce się z nimi zapoznamy! Ach, panie Żewrolu, zachciało ci się księżniczki z Madagaskaru, niestety jednak — służyć ci będę margrabiną tylko. Trudno!... czem chata bogata tem rada!

Takiemi myślami się pieszcząc, Lekok nie obejrzał się nawet, jak się znalazł przed pałacykiem margrabiny. Była to prześliczna budowla, istne pieścidełko, znajdujące się pośrodku pięknie utrzymanego ogrodu.

— Tam więc — mówił do siebie Lekok — znaleźć mam słowo zagadki. W tem cichem domu, za temi oknami, bogatemi portjerami przysłoniętemi, kona ze strachu, w bezustannej żyje trwodze ta, która zgubiła ten kolczyk! Jakimż niepokojem przejmuje ją myśl, że go zgubiła! Jak ją zmusić, by wyznała wszystko? Najlepiej będzie rzucić ją odrazu w obłęd trwogi, przerazić, zdruzgotać świadomością, iż policji jest wszystko wiadome! Gdybym jej bowiem dał czas do namysłu, nie dowiedziałbym się nic.

Z godzinę przechadzał się przed kratami, oddzielającemi ulicę od ogrodu, w pragnieniu zobaczenia kogoś z mieszkańców tej pięknej siedziby. Napróżno jednak. Cały dom trwał w ciszy i spokoju, ani jeden nawet lokaj nie ukazał się w ogrodzie.

Kto mógł być mężem tej awanturniczej pani, która biegała nocą, jak ulicznica, po zakładach tego rodzaju, jak szynkownia wdowy Szupe?

Warto było dowiedzieć się tego, zanim się wkroczy do wnętrza. Uderzenie bowiem w ciemności i po omacku jest rzeczą zawsze ryzykowną.

Zaczął się rozglądać dookoła i ku swemu dużemu zadowoleniu ujrzał po drugiej stronie ulicy, nieomal vis-a-vis, mały handel winny, którego właściciel, z przyczyny chwilowego braku gości, stał sobie przed sklepem zwolna pykając z fajeczki.

Lekok bez dłuższych namysłów podszedł do niego i z grzecznym ukłonem zapytał o dom margrabiny d'Arlange?

Kupiec nie raczył odpowiedzieć jednak, ręką jedynie wskazując kierunek.

Ale Lekok się tem nie zraził bynajmniej, wiedział, iż jest sposób na rozruszanie go. Poprostu należało wejść do handlu, kazać sobie podać wina, nie tylko dla siebie, ale i dla właściciela, a wtedy z pewnością zmieni się jego usposobienie.

I nie zawiódł się. Kupiec na widok dwóch pełnych szklanek uśmiechnął się jowialnie i sam rozpoczął pierwszy pogawędkę.

— Zapewne idziesz pan do margrabiny — powiedział — z rachunkiem jakimś? Jeżeli tak, to powiem otwarcie, że mi żal pana. Zedrzesz buty, zanim ujrzysz szeląg z jej kieszeni.

— Do licha!... Czyżby tak źle stały jej interesy?

— O ile wiem, ma do dwudziestu tysięcy franków rocznego dochodu. Jeżeli jednak ktoś, mając taki dochód, wydaje rocznie do czterdziestu — nie może nie być w pieniężnych kłopotach.

— Lecz patrz pan — mówił dalej, wskazując ręką na ulicę — oto idzie właśnie wnuczka margrabiny, Gina, ze swą guwernantką, mistress Smith.

Lekokowi pociemniało odrazu w oczach.

— To jest jej... wnuczka? — bąknął.

— Tak jest, córka jej zmarłego syna.

— Ileż w takim razie lat mieć może margrabina?

— Około sześćdziesięciu .Trzyma się jednak doskonale, istna herod-baba. Żyje skromnie, z wnuczką, jej guwernantką i sześciorgiem służby. Lubi jednak blichtr, wystawne przyjęcia, i to ją rujnuje.

Lekok był tak przejęty tem wszystkiem, co usłyszał, że bez dłuższych ceremonji pożegnał się z kupcem i wyszedł.

Nie byłby zdolny nawet dziesięciu minut trwać więcej w niepewności. Bez żadnych więc już ociągań zadzwonił do drzwi pałacowych.

Otworzył mu służący, który, po obrzuceniu go wzrokiem, zakomunikował mu tonem wyniosłym, że pani margrabina bawi na wsi, w swych dobrach.

Najwidoczniej zrobiono mu zaszczyt i wzięto za jednego z wierzycieli.

Lekok nie dał się jednak tak łatwo za drzwi wyprosić. Rozkazodawczym tonem powiedział lokajowi, iż przychodzi w nader ważnej i nie cierpiącej zwłoki sprawie, to prosi, by zobaczono raz jeszcze, czy pani margrabina istotnie wyjechała.

Oszołomiony potokiem słów sługus odpowiedział potulnie, że pójdzie się przekonać, zaś w chwilę potem wrócił ze słowami, by Lekok zechciał podążyć za nim.

Tym sposobem ajent nasz znalazł się w małym gabinecie, w którym zastał spoczywającą przed kominkiem na szezlongu kobietę straszliwego istotnie wyglądu, wysoką, kościstą, bardzo strojnie mimo to ubraną, w lokach, o wymalowanej twarzy i przeszywającem spojrzeniu.

Zmierzyła młodego policjanta takim wzrokiem, że gorąca fala zarumieniła mu czoło. Lecz to właśnie jego pomieszanie dobrze dlań usposobiło starą matronę, tak iż odezwała się do niego nieomal łagodnym tonem:

— Cóż cię tu sprowadza, młodzieńcze?

Lekok nie był onieśmielony, przekonywał się jednak z boleścią, że margrabina nie mogła być w żadnym wypadku współbohaterką dramatu w „Pieprzniczce". Że przypuszczenie takie było nonsensem, dość było spojrzeć na stopy pani margraibny, ogromne, szerokie i długie, a następnie porównać je w pamięci z małemi śladami stóp kobiet, które uciekły z szynkowni.

— Cóż to asan tak zapomniałeś języka w gębie? — przerwała milczenie

pani domu, grubym, prawdziwie męskim głosem.

Nie odpowiadając wprost na tę grzeczną uwagę, młody policjant wyjął z bocznej kieszeni żakietowej pudełeczko, a wyjmując zeń klejnot zagadnął:

— Odnoszę pani przedmiot przez nią zapewne zgubiony, do niej, jak mnie poinformowano, należący.

Pani d'Arlange odłożyła na bok książkę w ręku trzymaną, by wziąć do ręki podawany jej klejnot.

— Prawda — rzekła po chwili — ten kolczyk należał istotnie kiedyś do mnie, ale go dosyć już dawno odstąpiłam jednej z mych znajomych, baronowej von Watchau, bo niemiecka szlachta miewa duże nierzadko pieniądze. Nie będziesz miał możności jednak oddania jej kolczyka tego, ponieważ baronowa zmarła coś przed rokiem, a mówię to z całą pewnością, bo byłam przecież na jej pogrzebie.

— Ależ w takim razie — zawołał Lekok, głosem naprawdę zmartwionym — musiała ona pozostawić rodzinę, męża, córki może?...

— Nikogo, prócz brata, mającego stanowisko jakieś przy dworze wiedeńskim, który też z racji tej, nie mógł przybyć na pogrzeb. Gdy wszedł w posiadanie spadku, za pośrednictwem austrjackiego ambasadora wydał rozkaz sprzedania wszystkiego przez licytację, nie wyłączając garderoby nawet — i tak się ta cała sprawa skończyła.

— Co za nieszczęście! — zawołał Lekok głosem naprawdę strapionym.

— Hę?... nieszczęście?... zawołała stara dama, która najwidoczniej nie bardzo kochała swą przyjaciółkę. — Hm... jak dla kogo. W każdym razie nie dla ciebie, mój młodzieńcze, który teraz możesz śmiało zatrzymać ten klejnot dla siebie, jako nagrodę za swą uczciwość.

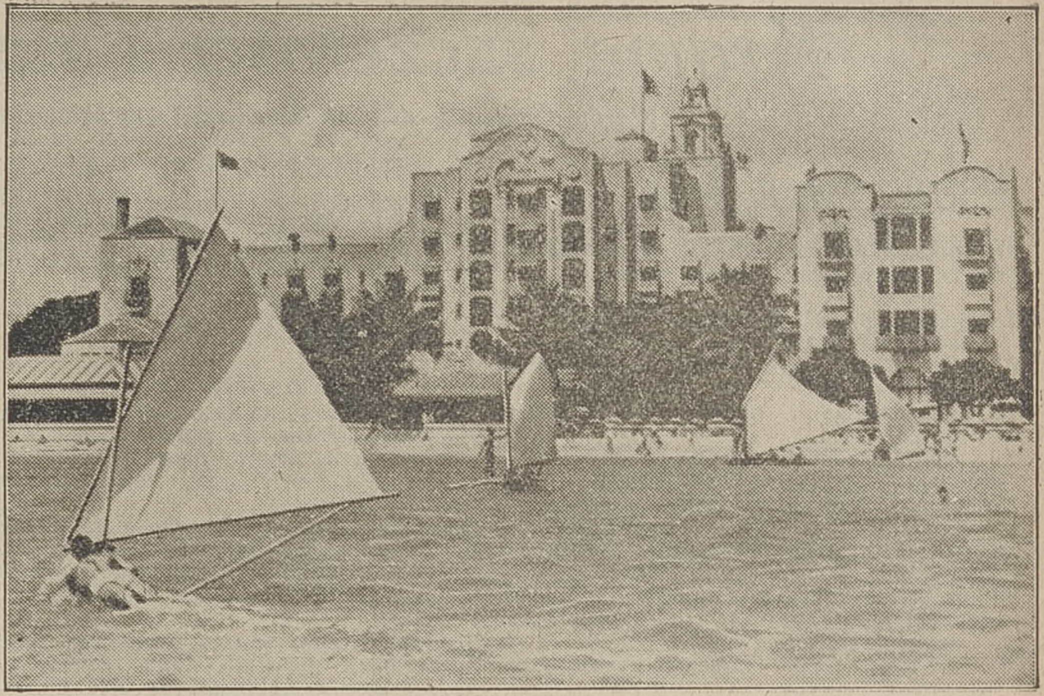
Do niepowodzenia dołączała się jeszcze śmieszność. Pani d'Arlange, która winszowała mu nieznalezienia właściciełki kolczyka, którą on tak bardzo gorąco pragnął odnaleźć właśnie.

W domu pani margrabiny d'Arlange nie było dla Lekoka nic więcej do roboty, wśród głębokich ukłonów wysunął się więc z salonu i na wpół przytomny wydostał się na ulicę.

Nowy ten cios nie złamał go jednak, nie zniechęcił. Bez straty jednej godziny czasu udał się do lokalu zamieszkałego ongi przez baronową von Watchau, gdzie od nader uprzejmego (i gadatliwego) odźwiernego dowiedział się, iż w parę miesięcy po śmierci baronowej wszystkie pozostałe po niej rzeczy, meble, ubrania, bielizna i klejnoty, przewiezione zostały do znanego domu komisowego Druota, przy ulicy tejże nazwy.

— Pamiętam nawet — zakończył wyjaśnienia swe odźwierny — iż sprzedaż odbywała się pod kierunkiem p. Le Petita.

Lekok, po uzyskaniu cennych informacji tych, pobiegł jak chart do owego „Le Petita", specjalisty od sprzedaży przedmiotów „pierwszej klasy", który, przypomniał sobie natychmiast „sprzedaż Watchau", bo ta w swoim czasie narobiła dużo, w świecie ludzi bogatych, hałasu i bez większego trudu odnalazł w swych papierach protokuł tej afery.



W miejscowości Waikiki na wyspach hawajskich wynaleziono oryginalny sport, polegający na tem, że do zwykłej deski przymocowuje się żagiel, który gnany wiatrem, rozwija znaczną szybkość stanowiąc niezwykłą atrakcję dla kąpiących się.

Niestety, w spisie przedmiotów rozsprzedanych nie było kolczyków brylantowych. Kolja taka, owszem, była i poszła za pół miljona. Były kolczyki ze szmaragdami i perłami, brylantów jednak nie było zupełnie.

Pan Le Petit wyjaśnienia swe, poparte niezbitymi dowodami, bo wykazem zaksięgowanym i przez władze poświadczonym, uzupełnił słowy, iż z całą pewnością powiedzieć może, że brat zmarłej nie zatrzymał dla siebie najmniejszej drobnostki, nie widział ich nawet, bo nie był w Paryżu, lecz wszystko sprzedać polecił.

Tak więc baronowa za życia najwidoczniej swego jeszcze kolczykami tymi jakoś rozporządziła. Sprzedała je może...

— Jakże się nazywał ten jej brat? — zapytał Lekok zgnębiony.

— Tak samo Watchau. Baronowa najwidoczniej wyszła zamąż za jakiegoś swego krewnego. Ten brat w ostatnich latach był jakimś wysokim dostojnikiem na dworze w Berlinie i tam mu pieniądze posłałem.

Wiadomości te miały luźny tylko związek ze sprawą, jednakże utkwiły w pamięci młodego ajenta.

— Szczególna rzecz — rozmyślał, po opuszczeniu biura pana Le Petita — że ze wszystkich stron w sprawie tej napotykam Niemcy. Morderca utrzymuje, iż jest bawarczykiem, teraz znów ten baron i baronowa von Watchau...

Gdy Lekok wyszedł z domu Druot, dochodziła ósma, a on nie jadł śniadania, nawet. Był zmęczony i zniechęcony, że zrezygnował z obiadu nawet i głodny poszedł spać.

Za to nazajutrz wstał przed świtem jeszcze i odrazu udał się na bulwar Beaumarchais, by wyzyskać ostatni już atut śledztwa, list Lacheneura, znaleziony w kurtce zmarłego Gustawa, a napisany, jak sobie czytelnicy przypominają zapewne, w jednej z kawiarń, znajdujących się przy tym bulwarze.

Odnalezienie kawiarni tej było dla Lekoka drobnostką.

Czwarty z kolei z zapytanych właścicieli zakładów tej kategorji rozpoznał swój papier i atrament. Ani on jednak, ani żaden z garsonów, żaden wreszcie z gości, których Lekok zręcznie wypytał, nie znali osobnika, któryby nazwisko Lacheneura nosił.

Co czynić było? W którą stronę zwrócić kroki?... Czy rzucić wszystko i przyznać, że się głową muru nie przebije?... że wszystko napróżno? Jeszcze nie!

— Czyż ten rzekomy żołnierz umierający, nie zaznaczył, że Lacheneur był aktorem?

Chwytając się tej wątłej wskazówki, jak tonący brzytwy, młody ajent z niesłabnącą energją rzucił się nowym śladem i zaczął chodzić od teatru do teatru z zapytaniem:

— Czy nie znacie panowie przypadkiem aktora z nazwiskiem lub pseudonimem: Lacheneur?

I otrzymywał zawsze jedną i tą samą odpowiedź — „nie".

Niektórzy jednak odpowiadali zapytaniem: „a jak wygląda ten artysta pański"? Lecz na zapytanie to Lekok nie mógł dać żadnej odpowiedzi. Wszystkie te wiadomości zaczynały się i kończyły na określeniu „cnotliwej Annetki": „wyglądał na osobę bardzo przyzwoitą". Było to trochę za mało.

I ten ślad, jak i inne, nigdzie go nie doprowadził. Lekok nie opuszczał jednak rąk. Postanowił przejrzeć księgi przyjezdnych we wszystkich hotelach i zajazdach. Przez cały szereg dni wstawał przed świtem, zaś kładł się po północy, bez wytchnienia rozczytując się w księgach podróżnych. Napróżno. Nigdzie nie natrafił na nazwisko Lacheneura.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

WŚRÓD SŁOŃCA, CISZY I ZIELENI

Tak mi tutaj dobrze wśród słońca, ciszy i zieleni —
Że pragnę gorąco, by wiecznie trwała ich pieszczota,
I trudno mi myśleć, że rozstać się trzeba wnet z niemi,
Że czeka bolesna i długa rozłąki tęsknota.

Tak mi tutaj dobrze wśród słońca, ciszy i zieleni —
Że nie potrzeba mi oprócz nich — naprawdę — nic więcej,
Na twarzy mej stale przeradosny uśmiech się mieni,
Bo cóż można kochać nad słońce, ciszę, zieleń — więcej?....

Danuta Wyrybkowska.

KTO WIE?

„Hrabia Monte Christo." Po otrzymaniu adresu — listy zaraz wysłałam. Sądzę, że je Pan otrzymał?

Ponieważ odebrałam od Pana dwa listy prawie równocześnie, więc odpowiadam na nie dzisiaj odrazu.

Ubawiłam się serdecznie domysłami Pana, zwłaszcza podejrzeniem, że jestem żoną Zawalidrogi; reszta domysłów jest trafna.

Pisze Pan, że zainteresował się „Białą Uajali", „Kaliną", „Alraune" i „Tabu", oraz przesyła im Pan pozdrowienia. Kto wie, czy wymienione Sympatyczki nie zainteresują się zkolei Panem i nie nastąpi przemiła wymiana liścików? Poczekajmy!

„RENDEZ-VOUS"

„Zdzież." Bardzo żałuję, że protekcją służyć nie mogę, gdyż osoby, wspomnianej w liście zupełnie nie znam. Jeżeli jednak ktoś z moich znajomych będzie ją znał, napewno nie zapomnę o Panu i chętnie go polecę. O tem zresztą jeszcze Panu doniosę w następnych nr. „Moich Powieści."

Podaję krótki wyjątek z listu, dotyczący Sympatyków „Krainy."

„Czy może znajduje się ktoś w „Krainie Szczerości", kto będzie brał udział w Zlocie Sokołów Okręgu Jarocińskiego, który odbędzie się w dniach 3 i 4 sierpnia b. r. w Borku? O ile tak, to może byśmy się mogli spotkać na tymże zlocie?..."

„Łobuzerska Kozaczka" sprawiła mi miłą niespodziankę swojem pozdrowieniem. Dziękuję serdecznie i pozdrowienia odwzajemniam."

DWIE CHMURKI

Rzuć okiem w górę, spójrz tam — przed siebie!
Czy widzisz te dwie chmurki płynące po niebie?
Suną cicho po gładkiej, lazurowej toni,
W swawolnych pląsach jedna drugą goni;
I pędzone wiatrem, jak dwa motyle
Jedna za drugą płynie szlakiem jednym,
Coraz są bliżej siebie, złączą się za chwilę
W krótkim uścisku, miękkim, bezwiednym.
Chwilę polecą razem w upojnym pędzie,
Splecione pieszczotą, jak dwa łabędzie,
Jak gdyby w woal mgły letnich poranków
Wtulona para spóźnionych kochanków;
Jak mara senna, co z brzaskiem ucieka,
Polecą w przestrzeń — lecz cóż je tam czeka?...
Tam znów ta sama wichru moc szalona,
Co je sobie na chwilę rzuciła w ramiona,
Przerwie wspólny ich rozkoszny taniec,
I rzuci każdą na przeciwny kraniec;
By rozłączone nazawsze zostały,
By się już nigdy więcej nie spotkały...
A gdy gwiazd miljard na niebie zaświeci,
Po nieboskłonie każda z nich poleci
Ku zorzy zachodu i tam się rozpłynie,
I w krwawej łunie bezpowrotnie zginie,
Jak senne zjawisko, jak ciche westchnienie...
Bo takie jest ich przeznaczenie.

„Biały Murzyn."

HALLO „CZARNY OLKU"!

„Księżniczka Cygańska." Wierszyk, niestety, słabiutki! Może jednak, spróbuje Pani napisać inny, lepszy? Jeżeli będzie dobry, oddam go do druku jak najchętniej. Poniżej zamieszczam słowa, dotyczące „Czarnego Olka.":

„Czarny Olku"! czy już Pan zapomniał o swojej „Księżniczce Cygańskiej"?

NIEDAWNO TEMU...

Niedawno temu splotłszy się ramieniem,
Twą małą główkę do piersi tuliłem; —
Dziś zdaje mi się, że znów tylko śniłem,
Że to com przeżył jest marą, złudzeniem.

Niedawno temu byłaś przy mnie jeszcze
I czułem każde serca twego bicie,
Dziś już uroku nie ma dla mnie życie,
A pierś uczucia przechodzą złowieszcze.

Niedawno temu, patrząc w twoje oczy,
Czytałem w głębi ich słowa zaklęte,
Dziś wszystko com czcił, co było mi święte,
Jak marę senną wir czasu w dal toczy.

Niedawno temu słuchałem z zachwytem,
Muzyki słów twych, rzucanych potokiem,
Dziś patrzę w przestrzeń z zasępionym wzrokiem,
A śpiew słowika staje mi się zgrzytem.

Niedawno temu, ...tak, byliśmy razem,
Dziś tyś daleką i jam ci daleki —
— Smutno i tęskno... — przymykam powieki —
Jakieś przedemną suną się obrazy...

Cóż to? Ach! widzę, jak płyną ku sobie,
Jedna ku drugiej w zmożonym zapale —
Wartko, naszego życia bujne fale —
Czy się spotkają? Czy popłyną dalej?...

Rogoźno, w lipcu 1935 r. *„ORD-OM."*

DZIĘKUJĘ!

„Tamara." Wzruszył mnie i rozśmieszył wstęp liściku Pani, w którym jest mowa o niezłożonych mi życzeniach imieninowych. Dziękuję jak najserdeczniej za to wielkie zainteresowanie się moją osobą, lecz żalu żadnego nie żywię za pominięcie tego utartego powszechnie, choć bardzo miłego zwyczaju. Niech Pani zresztą pamięta, że szczerość, życzliwość i sympatja więcej znaczą, niż zdawkowe konwenanse. (Pisząc „zdawkowe", nie myślę o Pani!).

Ostatnie nr. „Moich Powieści" wyszły z opóźnieniem, z powodu koniecznego remontu maszyn. Odtąd jednak będą wychodziły regularnie. Postaramy się również wkrótce o nowe powieści, z których mam wrażenie, będzie Pani zadowolona. Drukowane obecnie są dostosowane do popularności pisma i jak wnioskujemy z otrzymywanych listów, czytywane z uznaniem. Rozumie więc Pani, że: „de gustibus non est disputandum."

A teraz przesyłam Pani moc uścisków i czekam na nowy liścik, koniecznie z wspomnianym opisem okolicy, w której Pani zamieszkuje.

SERCA

Pośród serc tak dobrych i pośród serc złych,
Są serca wielkie i ciche zarazem,
Których nie brudzi żaden światowy blichtr,
Lecz uczuć wdzięcznych są zawsze obrazem.

Idą przez życie pokorne i jasne,
Dla drugich siejąc promyki wkrąg słońca,
I jako tęcze po chwilach burz krasne,
Pogody znak niosą zawsze bez końca.

Pośród serc smutnych i pośród radosnych,
Są serca dumne, co swego bólu,
Chociażby wielki i bardzo żałosny,
Nie zdradzą światu, lecz w sobie utulą.

A kiedy przesmutnych serc obce tłumy,
Spotkają w jakiej tragicznej rozterce,
Zapłakać jedyne nad niemi umią
I w służbę się oddać — te właśnie serca.

„Kalina."

UWAGA!!!

„Serce Stepów." Pod wpływem listu Pana powstał wiersz, który z łatwością Pan odnajdzie. Niech starczy za „niedopowiedziane" słowa.

Za fotografję dziękuję serdecznie! Prześlę wkrótce. Domysły dotyczące W. M. i R. K. nie są trafne.

Na długi i bardzo szczery liścik Pana — ta oto krótka odpowiedź, jednak myślę, że będzie przyjęta wyrozumiale?

A teraz wiadomość, która zainteresuje niektórych Sympatyków „Krainy":

Otóż „Serce Stepów" może służyć protekcją i wskazać firmę, gdzieby mogło otrzymać pracę 10 stolarzy (specjalistów na stolarkę budowlaną).

WYŚLĘ NATYCHMIAST

„Mała Konwalijka." Dotychczas nie wpłynęły jeszcze żadne oferty, ale skoro tylko jakąś otrzymam natychmiast wyślę.

Za przesłane liściki — dziękuję serdecznie. Są zawsze przemiłe, wzruszające w swej szczerości. Kocham Cię bardzo za to zaufanie, jakiem mnie darzysz, „Mała Konwalijko."

Przesyłam Ci choć z oddali siostrzane uściski i pamiętaj, że myślę o Tobie i pragnę, aby życie ułożyło Ci się znowu jak najlepiej.

Chciałabyś korespondować z jakąś bratnią duszą? Apeluję więc do Sympatyków „Krainy", aby napisali do najmilszego pod słońcem stworzonka — „Małej Konwalijki."

CZY ZGODA?

„Wesoła Irutka." Wierszyki zgodnie z przyrzeczeniem, zostaną wydrukowane. Listy wysłałam i mam wrażenie, że doszły do celu?

Pisze mi Pani, że bawiła na wakacjach i dużo przywiozła ze sobą wrażeń, proszę więc podzielić się z niemi i ze mną w następnym liście? Czy zgoda, panno „Irutko"?

Pozdrowienia, załączone dla „Stęsknionego Ślązaka" i zapytanie dlaczego nie pisze — przekazuję i równocześnie komunikuję, że „Wesoła Irutka" ogromnie pragnie korespondować z kimś z „Krainy Szczerości."

Chyba chętnych znajdzie się dużo?

MOŻE?

Może nam razem iść sądzono —
Któż wie? Któż wiedzieć w stanie...
Możeś mą bajką, tą wyśnioną,
Mem szczęściem, mem kochaniem.

Możeś promieniem jest złotym,
Wysnutym z cienia mroków?
Możeś pieszczotą jest pieszczoty,
Urokiem z mgieł uroku?

Może nam szczęście zapisane,
W rejestrach przeznaczenia,
Gdy życie nasze niezbadane
Wyroków swych nie pozmienia?

Kochanemu L. poświęcam.
„Wesoła Iruta."

NA UKRAINIE...

Poświęcam S. S.

Na Ukrainie — inny, inny świat...
I gwary inne i inna głusza,
Tam smętkiem tęsknym przepojony step,
Jak ta kozacza, przesmutna dusza.

Na Ukrainie — inny, inny świat...
Tam nawet czumak, jadąc, zawodzi,
Tam sentymentów, dumek tęsknych kraj,
Tam z smętkiem w parze swoboda chodzi.

Na Ukrainie — inny, inny świat...
Tam rozszumiony gwiaździstą nocą,
Step przecudowną, cichą szepce baśń
I poi duszę zadumań mocą.

Na Ukrainie — inny, inny świat...
Tam w Zaporożu na teorbanie,
Nieraz mołodziec dumki tęskne gra
O bohaterskim ojcze — atamanie.

M. Z.

BARDZO POGODNY LIŚCIK

„Ola z wesołej Dwójki.“ Za pozdrowienia Pani i „Inie“ — ślicznie dziękuję. Liścik tak mi się podoba, że nie namyślając się wiele, oddaję go do druku, chyba nie weźmie mi Pani tego za złe?

„Droga Pani Zosieńko! I znowu po długiem milczeniu odzywam się. Miałam zamiar, napisać list smutny, w związku z pewnym zawodem, ale pocóż pisać smutno, gdy świat cały tak piękny, uroczy i kiedy wokół wszystko uśmiechnięte i rozradowane. Czuję się więc na równi z innymi wesołą i szczęśliwą, mimo przykrości, których jednak obowiązki dnia codziennego nie skąpią. Gdy mi smutno, mówię z uporem, pocóż się smucić i łzy wylewać daremnie, co się stało nie wróci, koleje losu jak biegły tak biegną i nic ich wstrzymać lub zmienić nie zdoła. Więc choć często gorycz serce zalewa i łzy w oczach stają, opanowuję się i ukazuję twarz uśmiechniętą i pogodną, bo nic tak nie rozdrażnia jak w cudne dni tętniące gwarem, wesołością, radością i życiem widok twarzy smutnej i chmurnej, prawda?

Zauważyłam, że ludzie radować się umieją, wespół z kimś, lecz smucić nie, bo po części nie umieją wczuć się.

Dlatego też obie z „Iną z wesołej dwójki“ korzystamy z pięknych dni i radujemy się nimi — urządzamy wycieczki do pobliskiego lasu, gdzie spędzamy czas beztrosko i wesoło, jednem słowem jest mi dobrze, tak dobrze jak dawno już nie było. Wesoło i lekko mi na sercu i duszy, dlatego ukazuję twarz zawsze promieniejącą wesołością i swobodą.

A teraz Droga Pani Zosieńko, przesyłam na Twe ręce pozdrowienia dla kilku sympatyczek i sympatyków i to dla: „Iki“, „Pazia“, „Maryny“ „Ny-czara“ — „Wichru“ — „Ryśka Szczerego“ — „Kwaśnego Erosa“ — „Achillesa z postrzeloną piętą“ oraz podziękowanie dla „Horda“ za pozdrowienie i prośbę aby napisał kilka słów.“

OTRZYMAŁAM

„Dzika Cyganka“. Dziękuję Pani serdecznie za przesłane pozdrowienia, również „Smutnej Indjance“. List z opisem przechadzek otrzymałam i już dawałam na niego odpowiedź w jednym z ostatnich numerów.

Życzę Pani powodzenia w treningach sportowych i zwycięstwa w zawodach o mistrzostwo i jak zwykle przesyłam moc pozdrowień.

PRAGNĘŁABYM...

„Tofi.“ Dołączone zdjęcie sprawiło mi dużo radości. Dziękuję! Pragnęłabym, aby Pani miała zawsze tak pogodną i rozpromienioną twarzyczkę jak na zdjęciu.

Ogłoszenie dam w „Mojej Przyjaciółce“, gdyż skutek będzie pewniejszy. „Moja Przyjaciółka“ wychodzi 25 lipca, więc oferty mogą wpłynąć dopiero pod koniec miesiąca.

Byłabym bardzo zadowolona, gdyby przykra sytuacja Pani, już w krótkim czasie zmieniła się na lepsze. Czekajmy jednak narazie cierpliwie, aż nam czas nie ześle jakiejś zmiany.

Serdecznie Panią ściskam i życzę jej jak najwcześniejszego uzyskania posady.

BYŁ CZAS...

Był czas, kiedy mateńka rączki Ci składała,
modlić się szczerze do Bozi kazała
małej dziecinie, poranku, wieczora.

Czyż dzisiaj wspomnień tych w sercu nie chowasz,
kiedyś oczęta podnosił z ufnością,
wierząc, że w niebie aniołeczki goszczą?

Szczęście ci wtedy duszę omotało,
modłów pajęczyn — cieniuchną niteczką,
w dobra i wiary blasku cię kąpało.

— — — — — — —

Wierz mi, nie trzeba wiary szukać, badać,
lecz serca trzeba na ołtarzu składać
ofiary, jako Bóg dobry codzień za nas czyni,
choćbyśmy byli bardzo, bardzo złymi.

Nie trzeba badać, lecz wierzyć gorąco,
jak w to, że latem cudnie grzeje słonko,
jak w to, że gwiazdy niebo rozjaśniają,
i błękit nieba srebrem przystrajają.

— — — — —

Wierz mi, nie sztuką, codzień za złem kroczyć,
i codzień dalej i głębiej w niem broczyć,
Sztuką, bo większą, zwalczać zło i wroga,
niżeli przestać wierzyć w niebo, Boga.

Był czas, kiedy mateńka rączki Ci składała,
codzień do Boga modlić się kazała,
wierzyć, że wszystkich ludzi On rozumie...

Uczyń tak dzisiaj, wierzę, że to umiesz.

„Ilona.“

WIERSZYK POSIADA USTERKI

„Błękitny Rycerz“ pozdrawia: „Smutne Serduszko“, „Czarne Oczko“ „Jadźkę z Kujaw“, „Małą Konwalijkę“ „Stokrotkę“, i „Walę z nad Drwęcy“.

List zgodnie z życzeniem wysłałam. Wiersza, poświęconego „Smutnej Chryzantemie“, niestety, nie mogę oddać do druku, gdyż posiada za wiele usterek.

Łączę pozdrowienia i wyrazy serdeczności.

NIE WYRÓŻNIAM NIKOGO

„Milusia R.“ pragnęłaby korespondować z którąś z swych „Siostrzyczek“, a zwłaszcza z „Słodką Psyche“ i „Filuterną Mewą.“

Bardzo mi przykro, Milusieńko, że czujesz się dotknięta krótką odpowiedzią. Wierz, mi jednak, że nie dałam jej dlatego, że Cię mniej lubię, lub mniej Ci jestem przychylną, ale, poprostu streściłam się w odpowiedzi mimowoli, jak często to czynię. Porzuć więc, Kochanie, wszelkie niedorzeczne pomysły i bądź przekonaną, że Cię traktuję narówni z Twojemi „Siostrzyczkami“ z „Krainy“. Tyle razy pisałam przecież, że nikogo nie wyróżniam, a jeżeli dam jednemu krótszą odpowiedź, a drugiemu dłuższą, to jeszcze niczego nie dowodzi.

Bratu dziękuję serdecznie za pozdrowienia, które odwzajemniam jak najwierniej. Wierszyk o Marszałku Piłsudskim jest już nieaktualny, może więc prześlesz mi jakiś inny?

CO PISZE „BOGINKA“?

„Boginka“ pisze:

„Mieszkam w dużej wiosce, gdzie znajduje się również stacja kolejowa. O cztery kilometry od mej rodzinnej wioski jest wielkie jezioro, gdzie też w ciepłe słoneczne dni wyjeżdżam z koleżankami się kąpać i robimy długie przejażdżki po jeziorze kajakiem lub żaglowcem. Na jakiś czas później, wyjadę w inną miejscowość aby moje wakacje przepędzić w jakiejś okolicy letniskowej, aby podziwiać tam inne cuda przyrody i rozkoszować się na łonie natury. Ale nie zawsze mi się tak powodzi, jakbym sobie tego życzyła. Dlatego pragnęłabym, aby który z Czytelników „Moich Powieści“ ze mną zamienił słów parę drogą korespondencji.

Równocześnie przesyłam pozdrowienia dla „Romantyka XX-go wieku“ — „Idealisty z nad Bałtyku“ — „Irka“ — „Ord-Oma“ — „Puera“ oraz dla „Jadźki z Kujaw“ i „Białej Uajali.“ Może który z tych Panów lub Pań napisze do mnie, chociaż malutki, ale miły liścik? Na każdy dam szczerą i szybką odpowiedź. Tymczasem kończę mój liścik i przesyłam pozdrowienia dla wszystkich Czytelniczek i Czytelników „Moich Powieści“.“

„Boginka.“

Teczka Wujka Janusza

PRAGNĘ...

Tak bardzo pragnę być w życiu szczęśliwą,
Mieć słońce w oczach i uśmiech na ustach,
Widzieć przy sobie drogiego człowieka,
O smutnych oczach, kuszących z daleka.

Tak bardzo pragnę być w życiu kochaną,
Miłością świętą, niczem nie skalaną,
Trwającą wiecznie, płonącą jak znicze,
I z nią do zgonu w wiecznym iść zachwycie.

Tak bardzo pragnę być w życiu szczęśliwą,
Z szczęścia ramiona wyciągać do słońca
I marzyć słodko przy blaskach miesiąca,
Wsłuchana w szum wichru, co się w górze zrywa.

„Stella Maris.“

ODPOWIEDŹ DZISIAJ KRÓTKA

„Stella Maris.“ Czy jestem zadowolony? Ależ naturalnie! — mało! — jestem zachwycony!...

Daję dzisiaj króciutką odpowiedź, gdyż obawiam się, że zbierze mi się na komplimenty. A wszystkiemu winna przesłana fotografja.

Wierszyk? — wydrukowany!

Przesyłam serdeczne pozdrowienia pięknej Pani z fotografji!

WIERSZE SŁABE

„Te-Em.“ W wierszach Pana kryje się dużo uczucia, ale pozatem i dużo pesymizmu. Całość nie robi absolutnie żadnego wrażenia. Myślę, że proza będzie Panu więcej odpowiadała.

Apel do serc Czytelników i Czytelniczek daję za pośrednictwem wyjątku z listu Pana:

„Zasyłając serdeczne pozdrowienia dla nieznajomej — lecz niewątpliwie sympatycznej „Białej Uajali“, „Halszki“ oraz dla „Ord-Oma“, proszę, aby ktoś z młodych Czytelników lub Czytelniczek napisał do mnie list.“

NIE ODEBRAŁEM

„Samotna Polna Stokrotka.“ Droga Pani! skoro nie było w „Teczce“ odpowiedzi na ostatni liścik, to znak, że listu nie odebrałem.

Zaabsorbowały mnie ogromnie ostatnie wiadomości Pani, jednakże są one zbyt ogólnikowe. Jakież to znowu nieszczęście Panią dotknęło, które tyle żalu i goryczy wlało w serce? Proszę, niech Pani mi o wszystkiem napisze z całem zaufaniem!

Dlaczego czuje się Pani samotną i opuszczoną? Czyż pamięć Sympatyków „Krainy“ i moja życzliwość już nic nie znaczą?

NIE NARZEKAM

P. Michałowi Choszczowi — poświęcam.

Już nie narzekam na los sierocy,
Z ócz już nie płyną tęsknoty łzy,
Na ustach kwitnie uśmiech ochoczy,
Odkąd mym bratem, zostałeś Ty.
A więc z oddali, w nieznane strony,
Ślę myśli moje, jak wiosny wiew,
Niech ból i smutek, żeś opuszczony,
Wszystko ukoi mój cichy śpiew.

„Samotna Polna Stokrotka.“

BANALNE

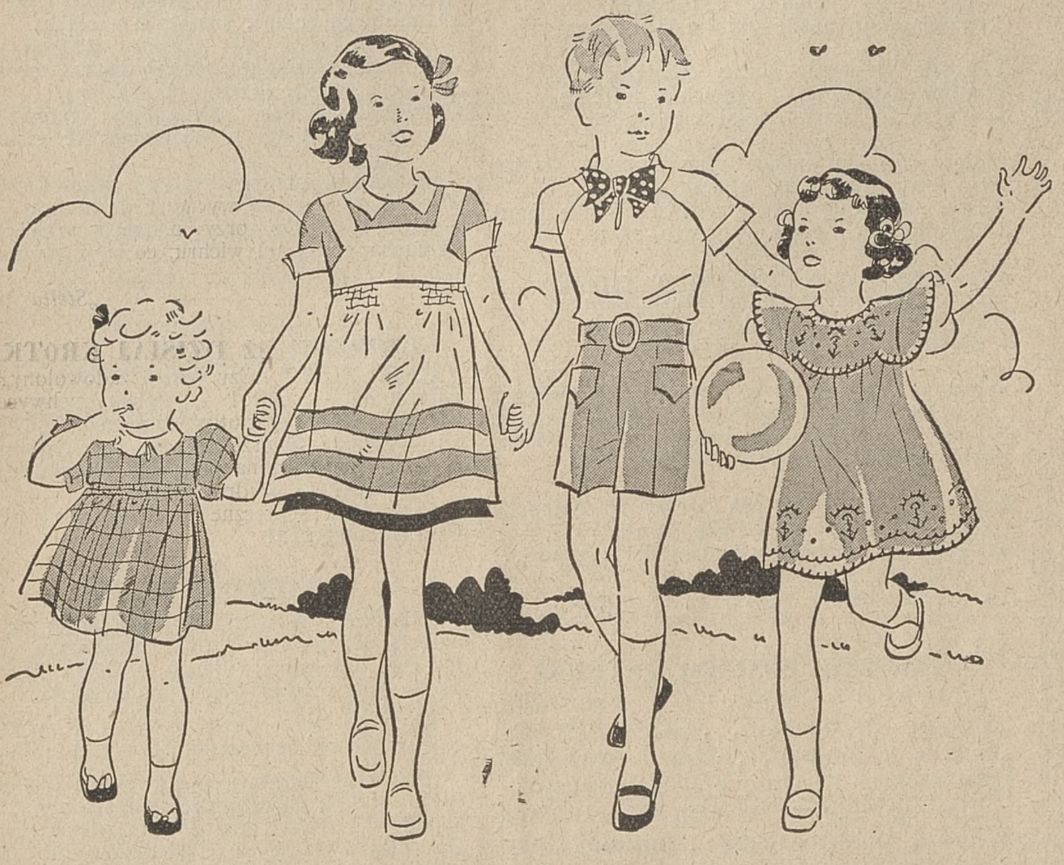
„Sokrates.“ Listy, takie, jak Pana, sprawiają ogromnie dużo zadowolenia, są bodźcem i zachętą do dalszej pracy. Przykro jest bowiem, gdy za pracę dla dobra drugich, zamiast uznania, otrzymuje się zapłatę w postaci nieuprzejmych listów. Na szczęście malkontentów jest bardzo mało i przeważnie otrzymuję listy szczere, wzruszające serdecznością i przyjaznemi uczuciami. Dzięki właśnie tym listom, praca moja, staje się z dnia na dzień dla mnie droższą i coraz więcej zyskuje na uroku.

Prosi Pan o ocenę wierszyków. Daję ją jak najchętniej, aczkolwiek niepochlebną. A więc wierszyki Pana są słabe i napisane banalnie. Sądzę jednak, że to nie zrazi Pana i skoro został Pan przyjęty do grona przyjaciół „Moich Powieści“, odezwie się częściej, no i może prześle znowu jakieś wierszyki, ale mniej osobiste?

Łączę wyrazy sympatji i życzliwości.

Raj kobiet

Dla naszych pociech



MK 46107 KW 2976 KK 46381 KW 58370

MK 46 107 Nadzwyczaj prosty model sukienki dla dwuletniej dziewczynki z perkalu w kratę. Bufiaste rękawki i kołnierzyk z białego rypsu, uzupełniają całość.

KW 2976 Praktyczny fartuszek z lnianego płótna z naszytemi kolorowemi plisami. Szelki fartuszka krzyżują się na plecach.

KK 46 381 Bardzo ładne ubranko dla chłopca. Składa się z białej bluzki do prania, z raglanowemi, krótkiemi rękawkami i z kolorowych płóciennych spodenek.

KW 58 370 Przemiły fartuszek z jasnego płócienka, haftowany kolorowemi nićmi.

Powyższe kroje (Bayera) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,50 zł przez P. K. O. nr. 207.393.

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Lało nam się udało, co? Jak nie rano to popołudniu deszcz leje.

I przez kogo? Podobnież przez jakichś siedmiu braci śpiących.

Nie wiem detalicznie, co to byli za ludzie, ale w każdem bądź razie, to nie jest w porządku. Ostatecznie co mnie do tego, że parę tysięcy lat temu nazad jakiemś braciom spać się chciało. Proszę bardzo, mogli sobie kimać ile jem się podobało, ale dlaczego ja mam przez to na męskiej konfekcji być stratny i siedem tygodni nie móc na trawie usiąść.

Ale trudno leje nie leje, lipiec jest i trzeba na urlop jechać.

Żona kombinowała parę tygodni, gdzieby mnie tu posłać, żebym sobie zdrowie podleczył. I mówi raz do mnie:

— Do Spały cię wyślę na Zjazd harcerzy, bo tam choćbyś ze łzami w oczach o litość prosił, kropli sznapsa nie dostaniesz.

Ano, jak powiedziała tak i zrobiła. Obcięła mnie do połowy nogawki od starych żakietowych spodni, co i tak byli u dołu obszarpańe, jak nieszczęście. Swoje czerwone chustkie na szyję, zamiast krawatu, mnie zawiązała, tłomok na plecy i jedź, mówi, na zlot.

Sam ma się rozumieć nie chciałem jechać i znakiem tego zabrałem ze sobą szwagra. Ubrał się tak samo jak ja i posuwamy na kolej.

Szwagier z gołemy kolanamy w obciętych portkach i w ciasnem kapeluszu na głowie tak cudacznie wyglądał, że co spojrzałem na niego mało, żem się ze śmiechu nie udusił.

Ale jakoś tam przyjechaliśmy na miejsce. Patrzem, w lesie namioty stoją i pełno małoletniej młodzieży w szkolnem wieku się kręci. Jeden, co za starszego między niemy chodził, jak nas zobaczył, pyta się:

— A druhowie skąd?

Szwagier mówi, że z Warszawy. To on się wtedy pyta jakie „sprawność" posiadamy?

Chciałem powiedzieć, że ankoholiczną, ale sobie przypomniałem, że to skauci, na wódce się nie znają i jak powiem prawdę, gotowe nas na zbity łeb stamtąd wyrzucić i zdrowotny urlop w łeb weźmie.

W taki sposób zaznaczyłem, że każdą jedną robotę możemy odstawiać, żeby tylko nie męczącą bo jesteśmy anemiczne.

To ten ów druh, w lesie nas postawił i kazał nam drogie samochodom z gośćmi pokazywać. Ano, dobra!

Pokazaliśmy jednemu, drugiemu samochodowi, aż tu patrzyć nieduże czerwone auto zapycha i pasażery co w niem siedzą o drogie do bufetu się pytają.

Faktycznie, nie wiedzieliśmy gdzie jest bufet, ale oba taką smykałkie mamy, że wódkie na parę kilometrów poczujem.

To tyż wsiedliśmy na ten samochód i każem jechać przed siebie.

Jechaliśmy tak może z godzinę, patrzeć, a tu miasto się jakieś pokazuje. Knajpkę w mieście nie jest trudno znaleźć, to tyż w pięć minut potem zagazowaliśmy z temy podróżnemy na całego.

Zaleliśmy się wszyscy w drobne kaszkie i jedziem znowuż do obozu.

Ale harcerze jak zobaczyli, że nasz samochód gzygzakiem jedzie, nie chcieli nas wpuścić i musieliśmy do Warszawy wracać.

W ten deseń na zlocie nie będziemy i musiem pomyśleć o inszem urlopie.

Z obciętych spodni kąpielowe majtki chcemy sobie wyszykować i nad morze jechać. Żona się na to zgodziła i już jutro mamy ze szwagrem odjeżdżać.

Jak nam się powodziło opowiem wam, kochane Czytelniki, za cztery tygodnie. A teraz dajcie pyska i adje!

Mąż — a toalety żony

Kratki sądowe, przy których łapie się zazwyczaj życie na gorącym uczynku, dostarcza często niejednej przestrogi na przyszłość dla tych osób, które nie życzą sobie nigdy stanąć w kolizji z prawem.

Pewna pani udała się w towarzystwie swego męża do jednej z firm konfekcyjnych i obstalowała sobie toalety przeznaczone naturalnie do swego osobistego użytku. Firma licząc, że pokrycie rachunku nastąpi szybciej i korzystniej przez „pana domu" przesłała mężowi rachunek za toalety żony.

Mąż niestety, nie zgodził się na pokrycie wymaganej sumy i sprawa znalazła się przed obliczem sądu.

W stosunku do męża orzekły sądy o braku odpowiedzialności, wychodząc z założenia, że przy akcie zamawiania toalet asystował mąż tylko jako prawny zastępca żony przy uzgadnianiu między firmą a żoną ceny kupna.

Wysłanie rachunku wystawionego w tych warunkach na imię męża, sąd uznał za prawnie bezskuteczne.

O wyłącznej odpowiedzialności żony w takim wypadku — decydowała okoliczność, czy toalety przeznaczone były do osobistego użytku żony, która je w sklepie sama wybrała, a po dostarczeniu ich sama osobiście użyła.

Pogląd powyższy podzielił również Sąd Najwyższy, który przytem wypowiedział się za dodatkową odpowiedzialnością męża, jako pomocniczą na wypadek bezskuteczności przeprowadzonej przeciwko żonie egzekucji.

Ze świata

Uroczystość ślubna w przestworzach

Eskadra samolotów z oblubieńcami i gośćmi weselnymi nad Paryżem

W ubiegłym tygodniu odbył się we Francji pierwszy ślub powietrzny. Para oblubieńców otrzymała błogosławieństwo w powietrzu. Pierwszy samolot, w którym znajdowali się: dyrektor jednego z paryskich klubów sportowych Becquerelle i jego narzeczona, Simone Poulain, był eskortowany przez flotyllę innych maszyn, mieszczących gości weselnych.

Pogoda nie sprzyjała wprawdzie tej imprezie mimo to, niezrażeni oblubieńcy i ich goście, zajęli siedem samolotów i unieśli się w przestworza.

Jedna z druhen zaproponowała nawet by dla uświetnienia uroczystości, zaprodukować skoki ze spadochronem. Ten wymagający nielada odwagi pomysł został jednak w ostatniej chwili odrzucony, ponieważ wzięto pod uwagę, że gdyby nie wszystkie skoki wypadły szczęśliwie, byłoby to przykrym zgrzytem na tle wesołej uroczystości.

DOBRA GOSPODYNI

Tort wiśniowy

12 dkg masła, 12 dkg migdałów mielonych, 4 jaja, 4 żółtka, 12 dkg tłuczonych biszkoptów, 25 dkg cukru, sok z cytryny; — osączone z soku wiśnie konfiturowe.

Utartą dokładnie masę w połowie wybrać do tortownicy, zrównać nożem, ułożyć raz koło razu smażone, osączone wiśnie, pokryć drugą połową masy i wolno upiec. — Tort upieczony, suto pocukrować.

Tort porzeczkowy „Bijou"

20 dkg masła, 20 dkg cukru, 20 dkg mąki, 20 dkg parzonych mielonych migdałów, wanilja; — słoik smarzonych porzeczek.

Zamieszone ciasto podzielić na dwie części i kawałek. Roztaczać dwie części na dwóch denkach od tortownic, na jednej ułożyć kratę z wałeczków, taczanych z zostawionego kawałka ciasta. Upiec ładnie. Przełożyć blaciki smażonemi porzeczkami, dając ten z kratą na wierzch. W otwory kraty pokłaść po łyżeczce porzeczek. Podać tort dopiero nazajutrz, aż nieco odwilgnie przed krajaniem.

Co słychać w polityce?

Na terenie *polityki międzynarodowej* wciąż jeszcze zajmuje najwięcej uwagi *sprawa abisyńska*, obok której wyrasta, doniosła dla dalszego rozwoju sytuacja w Europie środkowej, sprawa powrotu Habsburgów, oraz zagadnienie niemieckich zbrojeń morskich.

W kwestji abisyńskiej zaszedł nowy zwrot, wskazujący na dalsze pogorszenie się sytuacji. Komisja rozjemcza, obradująca w Szeweningen w Holandji przerwała swe obrady. Jak wiadomo przed półtora miesiącem rozpatrując konflikt włosko-abisyński, rada Ligi Narodów przyjęła do wiadomości zgodę obu stron na postępowanie rozjemcze i wyznaczyła dwa terminy prekluzyjne: 25 lipca — jako termin, do którego powinno nastąpić porozumienie lub przynajmniej zgoda na osobę superarbitra, w braku której rada Ligi Narodów miała się zabrać dla dalszych decyzyj, chyba, że sędziowie rozjemczy prosiliby o prolongatę, oraz 25 sierpnia — jako ostateczny termin załatwienia sprawy w postępowaniu rozjemczem, przyczem w razie jego rozbicia się decyzja o całym konflikcie miała wejść przed Ligę Narodów.

Tymczasem postępowanie *arbitrażowe* już się definitywnie *rozbiło* i wobec tego nietylko bezprzedmiotowe staje się przewidziane na 25 lipca wyznaczenie superarbitra, ale zarazem aktualna byłaby już teraz decyzja, projektowana pierwotnie na 25 sierpnia. Włochy jednak oświad czyły stanowczo, że do Genewy nie pojadą, a wszelkie narzucanie im się przez Ligę Narodów uznają za powód do ustąpienia z Ligi. Wobec tego cała nadzieja Genewy leży teraz w tem, że może Włochy... nie zechcą prowadzić wojny „oficjalnej", ale zadowolą się naśladowaniem — przykładu *Japonji* w stosunku do *Chin*...

W Anglji zaś zrozumiano wreszcie, że nic nie pomoże przeciwstawianie się polityce Włoch, które raczej mogą tylko popsuć wiele innych spraw. Myśli się więc już o pewnych koncesjach na rzecz żądań włoskich. Coraz wyraźniej rysuje się na horyzoncie możliwość oddania Abisynji pod protektorat włoski — bodaj nawet przez Ligę Narodów.

Jakkolwiek sztuka przewidywania, jest bodaj najtrudniejszą właśnie w polityce, to jednak na podstawie zarysowujących się ostatnio tendencyj, między innemi wyrażonych w czwartkowem przemówieniu ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji Hoare, przypuszczać można, że zapowiadana, „wisząca na włosku" i t. p. wojna włosko-abisyńska, zakończy się bezkrwawem zwycięstwem tezy włoskiej o konieczności powierzenia Włochom przez Ligę Narodów mandatu cywilizacyjnego Abisynji.

Kwestje te stanowią niewątpliwie jeden z głównych tematów, odbywających się obecnie w Londynie narad sekretarza generalnego Ligi Narodów z kierowniczemi osobistościami polityki angielskiej.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 21. VII. do 27. VII. 1935 r.

Niedziela, dnia 21 lipca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 9.15 Dziennik poranny 10.30 Transmisja Nabożeństwa 12.03 Na stepach Urugwaju 12.20 Poranek muzyczny 14.00 Muzyka salonowa 15.00 Z braku paszy-kiszonki — pogadanka rolnicza 15.10 Muzyka 15 22 Przegląd rynków produktów rolnych 15.35 Muzyka z płyt 15.45 „Smacznie i zdrowo" — pogadanka dla gospodyń wiejskich, (przetwórstwo owocowe) 16.00 Recital fortepianowy Stanisława Szpinalskiego 16.30 Nastrojowe piosenki w wykonaniu Adama Astona 16.45 Etymologja na wesoło — szkic literacki, Arnolda Wilnera 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk. Koncert 18.00 Transmisja z Obozu „Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (z Wilna) 18.15 Simons-Duvernois: Melodje z komedji muzycznej „Ty, to ja" 18.30 Cała Polska śpiewa 18.45 Wzdłuż granic Polski 19.25 Melodje z operetek Lehara 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.00 Odczyt o Marszałku Piłsudskim — wygł. Aleksander Kawałkowski 20.10 Koncert Orkiestry Kameralnej (z Wilna) 20.45 Wybrane myśli Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P.R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego z udziałem Ignacego Dygasa (śpiew) 21.30 Na wesołej lwowskiej fali 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 „Nasza marynarka gra" 23.05 Muzyka jazzowa w wykonaniu Zespołu Barnabasa Geczy (płyty.)

Poniedziałek, dnia 22 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — koncert 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert fortepianowy f-moll Fr. Chopina w wykonaniu A. Rubinsteina 15.30 Koncert Orkiestry Dętej (z Katowic) 16.00 W co się będziemy bawili? — audycja dla dzieci 16.15 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Z. Górzyńskiego 16.50 „O groch przy drodze" humereska Adolfa Dygasińskiego 17.00 Arje w wyk. Aleksandra Bielakowa 17.15 Rimskij-Korsakow: Fragmenty z oper 17.40 Conrado del Campo: „Caprichos Romanticos" — na kwartet smyczkowy 18.00 Pióro, papier i atrament — odczyt 18 15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Wiedeńskie walczyki 19.50 Książki zapomniane 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Muzyka salonowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert polskiej muzyki symfonicznej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 23 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Melodje jazzowe w wyk. Orkiestry B. B. C. i Zespół „Te 4" (płyty) 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Zespół salonowy Zygmunta Grossmana 18.45 Melodje z filmów dźwiękowych 19.30 Utwory fortepianowe w wyk. Władysława Burkatha 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Marcin skrzypek — operetka Offenbacha 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 24 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Piosenki w wyk. Janusza Popławskiego, oraz Orkiestry H. Golda 15.30 Koncert muzyki lekkiej (z Krakowa) 16.00 Dbajmy o słońce i powietrze dla dzieci wygł. dr. St. Średnicki 16.15 Muzyka symfoniczna 16.50 Co to jest plaga? 17.00 Utwory wiolonczelowe w wyk. Józefa Drohomireckiego (z Katowic) 17.20 Koncert w wyk. orkiestry Kameralnej pod dyr. Sylwestra Czosnowskiego 18.00 Wesoły skecz p. t. „Znak" p/g Guy de Maupassant'a 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Opowiadanie dla dzieci p. t. „Przy gnieździe jaskółek" 18.45 Muzyka lekka 19.30 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera 19.50 Swiat się śmieje 20.00 Zbiór i transport owoców 20.10 Wesoła audycja (płyty) 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert chopinowski 21.30 Komendant w stosunku do dzieci 21.40 Serenada Aleksandra Tansmana w wyk. Tria 22.10 Wiadomości sportowe 22.20 Mała orkiestra P. P, pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Czwartek, dnia 25 lipca 1935 r.

6 30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Piosenki (płyty) 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert zespołu mandolinistów (z Katowic) 15.30 Recital fortepianowy 16.00 Opowiadanie dla dzieci młodszych p. t. „Mądry pies" — Stary Doktór 16.15 Muzyka salonowa 17.50 Opowieści świętokrzyskie opow. Jana Gajrzlera 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk koncert 18.00 O książce Reinhardta „Eleonora Duse" 18.10 Minuta poezji. Wiersz Stanisława Miłaszewskiego 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Dokąd jechać w święto? 18.45 Delibes: Muzyka baletowa 19.15 Koncert reklamowy 19 30 Mozart: Serenada „Eine kleine Nachtmusik" 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert w wyk. Ork. Symf. P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego z udziałem Józefa Wolińskiego (tenor) 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R. pod. dyr. Z. Górzyńskiego.

Piątek, dnia 26 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — Koncert Zespołu Wiesława Wilkosza 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Piosenki o wojsku w wykonaniu Chóru Juranda 13.30 Z rynku pracy 15.30 Drobne utwory R. Schumanna w wykonaniu Zespołu Niny Mańskiej 16.00 Współzależność roślin i zwierząt wodnych Odczyt wygłosi prof. dr. Kazimierz Simm 16. 5 Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogadanka dla chorych 16.50 Dzieło sztuki — humoreska Czechowa 17.00 Wycieczka do Czechosłowacji — koncert 18.00 Szlakiem autobusowym 18.15 Cała Polska śpiewa 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Utwory charakterystyczne 19.30 Recital śpiewaczy Eugenjusza Mossakowskiego 19.50 Pirat radjowy — Impertynencje Marjana Hemara 20.00 Skrzynka rolnicza 20.10 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert w wykonaniu Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 27 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.00 Dziennik południowy 12.15 W. A. Mozarta. Symphonie concertante na skrzypce i altówkę 13.00 Chwilka dla kobiet 13.06 Muzyka operetkowa Z. Górzyńskiego 15.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci p. t. „O Wicku, który pognębił śmierć" p/g opow. K. Makuszyńskiego 16.00 Skrzynka techniczna 16.15 Koncert solistów: Janina Filingera-Kulikowska, (śpiew) i Stefan Herman (skrzypce) 16.50 Codzienny odcinek prozy: O żołnierzu błędawcu 17.00 Dla naszych letnisk i uzdrowisk — Koncert Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego 18.00 Poradnik sportowy 18.10 Minuta poezji 18.15 Cała Polska śpiewa 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Koncert z udziałem Vasy Prihody 19.30 Nasze pieśni w wykonaniu Wandy Roessler-Stokowskiej 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Przegląd prasy rolniczej krajowej i zagranicznej — wygł. Władysław Sawicki 20.10 Wesoła audycja muzyczna 20.45 Dziennk wieczorny 20.55 Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski 21.00 Auycja dla Polaków zagranicy, poświęcona Zołnierzowi Polskiemu 21.30 Odgłosy wsi — koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Kukułka wileńska 22.30 Mała Orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

CHWILA ZASTANOWIENIA

L O G O G R Y F

uł. „Leo"

a - ce - com - cor - da - dia - e - e - e - e

i - i - ja - ja - ja - ju - sze - mi - ni - no - no

ner - nus - na - ol - ra - re - ry - ras

ris - ros - te - tal - tor - to - u - wik - wa - os-

Z podanych powyżej sylab ułożyć 10 bóstw greckich i 6 rzymskich, których pierwsze litery po odpowiedniem ustawieniu czytane pionowo dadzą rozwiązanie.

W I Z Y T Ó W K I

uł. „Velga"

NERON HAW

HANIA RISTIC

JAN DRYSA

BRONA CELA

Gdzie mieszkają właściciele biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 26 lipca br.

Rozwiązania zadań z nr. 27 „Moich Powieści": Arytmograf: 1. Żóraw 2. Sroka 3. Orzeł 4. Struś 5. Szczygieł 6. Skowronek 7. Jaskółka 8. Pliszka 9. Kukułka 10. Remiz 11. Czyżyk 12. Łyska 13. Gołąb 14. Wrona 15. Kawka 16. Przepiórka — całość: *Rozrywki umysłowe.* Bilety wizytowe: kominiarz, bednarz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Wacław Bultrowicz — Gniezno, „Joter", Franciszek Krystek — Dziećkowice, Jan Krakowiak — Grudziądz, Robert Rohde — Osieczna, Stanisław Kurzawski — Rydzyna, Hanka Trepczyńska — Bydgoszcz, Janusz Jodłowski — Rozprza, Kazimiera Wicherkiewiczówna — Lipno, Leon Świtalski — Żnin, Ludwika Osińska — Kowalewo, Elwira Zorawowiczówna — Mołodeczno, Zenobjusz Tołstoi — Mołodeczno, Leonard Zorawowicz — Mołodeczno, Stanisław Zoran — Mołodeczno, Jan Ambrożewicz — Mołodeczno, Marja Braunówna — Mołodeczno, „Elf", „Luis."

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Hance Trepczyńskiej — Bydgoszcz, ul. Królowej Jadwigi 9 i Franciszkowi Krystkowi z Dziećkowic p. Brzezinka, woj. śląskie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

W. P. L. Z. Numery okazowe wysłaliśmy. Rocznik „Moich Powieści" za rok 1934 będzie kosztował 9 zł. W sprawie przyjęcia do „Krainy Szczerości", prosimy zwrócić się do p. Zofji. Otrzymane zadania zamieścimy w miarę możności. Prosimy do zadań dołączać zawsze rozwiązania. Przesyłamy miłe pozdrowienia.

P. H. Z. z Mołodeczna. Opóźniona wysyłka „Moich Powieści" powstała na skutek, jak już nadmieniliśmy kilka razy, remontu maszyn drukarskich. Odtąd jednak tygodnik będzie wychodził zawsze punktualnie. Serdecznie pozdrawiamy i żywimy nadzieję, że nasi Przyjaciele z Mołodeczna, będą już odtąd zadowoleni.

Jak wieś powinna przyjąć letników

Wobec spodziewanego w tym roku masowego wyjazdu mieszkańców miast po odpoczynek i wytchnienie — nie do drogich przeważnie i hałaśliwych uzdrowisk, lecz na spokojną i tanią wieś — zarówno wszystkie dwory, jak i chaty wiejskie, muszą się odpowiednio ku temu przystosować.

Właściwe przygotowania w tym kierunku nie nastręczają bynajmniej większych trudności, jakkolwiek nie należy ich sobie lekceważyć.

Na czem letnikowi głównie zależy:

Przedewszystkiem na spokoju i wygodzie. Zmuszony dziś uciążliwymi warunkami materjalnymi do liczenia się z każdym groszem i, w konsekwencji tegoż, dążąc do zapewnienia sobie podczas miesięcy wakacyjnych maximum korzyści wypoczynkowych (nie leczniczych) — wybiera zwykłą wieś, zamiast jakąś specjalną miejscowość uzdrowiskową, chce on jednak nawet za te swoje szczupłe i skromne zasoby finansowe, użyć sobie tego wypoczynku dowoli.

Zasadniczo o sam wypoczynek zgoła nietrudno na wsi. W każdej jest aż nadto miejsca, w postaci lasów, łąk i pól, gdzieby letnik mógł się swobodnie i spokojnie przespacerować czy też poleżeć i posiedzieć sobie. Zresztą kwestja ta ma już swój utarty, naturalny, prosty szablon: bierze się zazwyczaj jakiś koc czy pled i poprostu ucieka w las lub na łąkę. Bo właśnie chodzi o to, by być samemu w obliczu słońca i powietrza, w majestacie spokoju i pogody, zdala od ludzkich gwarów i hałasów, zdala od tego wszystkiego, coby treścią swą mogło przypominać miasto. Tu więc wieś nie potrzebuje dawać żadnej specjalnej inicjatywy, chyba tylko życzliwą radę letnikowi, gdzie i kiedy najlepiej pójść.

Prócz spokoju żąda jednak letnik i pewnych wygód. Nie chodzi tu o jakiś luksusowy komfort, ale o tych kilka podstawowych konieczności z dziedziny higjeny, czystości i wygody, obowiązujących człowieka kulturalnego. A więc: pokój, odnajmywany letnikowi, nie może być brudny, zakurzony, zaśmiecony, wilgotny, nieprzewietrzany. Podobnie umeblowanie pokoju. Wszystko to wcale nie musi być nowe, najzupełniej wystarczy, jeśli będzie tylko czyste. Z umeblowania starczy letnikowi łóżko, szafa na rzeczy, jakiś stolik, krzesła, ewentualnie umywalnia — i już prawie nic ponadto. Najchętniej poszukiwane są pokoje słoneczne, ale wynajęty być może i każdy inny, byleby tylko, jak już wspomnieliśmy, był zdrowy, czysty, miły, przytulny, z jednej strony nie przeładowany w umeblowaniu, ale z drugiej posiadający tych kilka niezbędnych sprzętów i — rzecz najważniejsza — nie sąsiadujący z miejscem ustępowem względnie z miejscem składania nawozu. Łatwiej o to we dworach, trudniej — po chałupach, ale przy dobrej woli wszystkiemu można pomyślnie zaradzić.

Większość letników wynajmować będzie pokoje czy izby wraz z utrzymaniem, całodziennem lub częściowem, jakkolwiek trafią się i tacy, którzy o żywność starać się będą sami. Tak jednym jak i drugim trzeba jak najbardziej pójść na rękę. Trzeba poprostu mieć w każdej chwili dostateczną ilość — przedewszystkiem mleka, nabiału, jarzyn, owoców, chleba i drobiu. Kiedy samemu nie jest się w stanie zapewnić należytej podaży tych artykułów, trzeba zawczasu wejść w porozumienie z sąsiadami, tak, by gość z miasta nie miał powodów do narzekań. A już o zbyt tych artykułów — można być zupełnie spokojnym. Pójdą z całą pewnością. Ceny muszą być bardzo przystępne. Nie można, oczywiście, dokładać do letników czy też poprostu tracić na nich, ale zarabiać na nich wolno tylko uczciwie, i raczej mniej, byle tylko zachęcić ich do częstszego odwiedzania wsi. Kalkulacja kosztów utrzymania letnika musi być tak przeprowadzona, by, z jednej strony, nie stawiać go wobec nieuczciwie, niesłusznie i niepotrzebnie wygórowanych cen, a tem samem zniechęcać go do ponownego przyjazdu na wieś, z drugiej strony — by, przy tanim, ułatwionym i wygodnym sposobie i warunkach zbytu swoich artykułów, zapewnić sobie niewielki może, ale pewny i trwały zarobek. Krótko mówiąc: nie wolno letnika obdzierać ze skóry.

Cóż więcej może dać wieś mieszczuchowi. Po dworach zawsze znajdą się jakieś gazety, książki, radjo, fortepian i t. p., korzystanie z którychto winno się letnikowi uprzystępnić. Innych rozrywek ludzie wyjeżdżający na wieś przeważnie już nie szukają, a nawet przeciwnie, właśnie uciekają od nich, mając ich aż do przesytu w mieście. Polowania, urządzanie wspólnych wycieczek na grzyby, zaznajamianie letnika z bardziej malowniczemi okolicami danej miejscowości — oto wdzięczne pole pracy zarówno dla właścicieli dworów, jak i skromnych chat. Pozatem — 90 proc. mieszczuchów nie ma pojęcia o życiu wsi, o toku jej pracy, o jej bolączkach i potrzebach, w następstwie czego wieś i rolnik ciągle jeszcze uchodzi w mentalności ludzi z miasta jako coś zgoła egzotycznego, nie bliskiego — lecz dalekiego, nieznanego. Byłoby więc bardzo pożądanem, by zarówno po dworach, jak i chatach, zainteresować gości z miasta zagadnieniami wsi, pokazać im z bliska i bezpośrednio, jak ta wieś żyje i pracuje. Czynić to jednakże należy w sposób bardzo taktowny, nie narzucający się, niepretensjonalny i nie krępujący czas letnika.

Jeśli dopełnią się te wszystkie wskazania, jakie powyżej pobieżnie rzuciliśmy, wieś może na pobycie gości z miasta dużo skorzystać. I naodwrót. Ujęci taniością i gościnnością wsi, zakosztowawszy jej przeogromnych dobrodziejstw wypoczynkowych, dobrodziejstw, dających najlepsze ukojenie skołatanym w mieście nerwom — mieszkańcy miast tem częściej zechcą znaleźć na wsi tę przyjazną atmosferę, jakiej brak im w mieście, i znajdą ją napewno.

J. K.

PORADY KOSMETYCZNE

Jak się uchronić przed piegami

Prześliczne słońce bywa zdradzieckie, jego promienie niosą nietylko radosne światło i ciepło, lecz w wielu wypadkach groźne niebezpieczeństwo w postaci brzydkich piegów. Przyroda jest czasem złośliwa i słońce prócz promieni cieplnych zawiera i promienie działające chemicznie, zwane ultrafioletowemi, które rych na wiosnę jest najwięcej, i one to właśnie wywołują piegi.

Piegi są to równe, gładkie, nie wzniesione ponad powierzchnię plamy. Liczba ich niekiedy wynosi tylko kilka, innym razem są gęsto usiane, tak, że miejscami zlewają się ze sobą, tworząc całe przestrzenie, podobne do skóry lamparciej.

Piegi najczęściej umiejscawiają się na twarzy, na policzkach, nosie, rzadziej na skroniach i powiekach, spotykane są również na szyi, grzbietach rąk i przedramienia. Nierzadko zaś dekolty zwłaszcza jasnych blondynek oraz rudowłosych, pokryte są całemi kolonjami bronzowych piegów.

Jaka jest przyczyna powstawania piegów, dotychczas nie wyjaśniono. Faktem jest tylko, że pod wpływem promieni słońca występują one najczęściej u osobników wątłych i niedokrwistych.

Piegi zjawiają się zazwyczaj w lecie, bledną lub giną zupełnie w zimie. Leczenie nie należy do łatwych zadań i częstokroć daje wyniki niezadawalniające.

Usuwanie piegów uskutecznia się za pomocą złuszczania. Należy jednak uświadomić sobie, że barwik leży głęboko w tkance podskórnej, złuszczenie więc może dać wyniki tylko chwilowe. Złuszczenie może być radykalne lub też powolne. Radykalne złuszczenie naskórka może stosować wyłącznie lekarz.

Przy usuwaniu piegów należy uświadomić sobie, że na stałe znikają one tylko w wyjątkowych wypadkach. W olbrzymiej ilości po zastosowaniu środków na piegi, powracają one po pewnym czasie.

W najnowszych czasach zaobserwowano, że higjeniczny róż i puder działa również ochronnie przeciw powstawaniu piegów; w celu ochronnym bardzo wskazanem jest noszenie na słońcu czerwonego kapelusza, parasolki i t. p.

Z wielu metod usuwania piegów specjalista lekarz winien rozstrzygnąć, którą wybrać należy do danej cery.

Skóry wrażliwe i delikatne, a tylko przeważnie takie pokrywają się piegami, winny być złuszczone tylko łagodnemi metodami, by uniknąć podrażnień i przedwczesnych zmarszczek.

Na to powinny przedewszystkiem zwracać uwagę Panie, obarczone piegami.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

45)

„Tak, panie doktorze“, zawołał Kazimierz, „chcę jednak mówić z panem otwarcie, jak przystało na człowieka honoru. Przed pół godziny nie znałem jeszcze pańskiego nazwiska, ani nie wiedziałem o pańskiej bytności. — Przypadek zaprowadził mnie do tego domu. — Szukałem lekarza i znalazłem go. Zdaje mi się, że opatrzność kierowała moimi krokami. — Panie doktorze, tu nie rozchodzi się o operację na żyjącym człowieku, ani czybyś sztuką swoją lekarską zdołał uratować drogie życie, lub nie, gdyż życie to zgasło już na wieki. Doktorze, przed bramą na ulicy stoją nosze z trumną, w której spoczywa ukochane nadewszystko przeze mnie, piękne, nieszczęśliwe dziewczę. W tej chwili, kiedy mam je oddać ziemi, kiedy mam się rozstać na wieki z tą umiłowaną postacią, na którą patrzałem zawsze z takim zachwytem, teraz gdy mam wziąć rozbrat z tymi wdziękami, które mnie tyle razy uszczęśliwiały, — w duszy mojej powstało dziwne żądanie, — żądanie, którego nie mogę poskromnić“.

Głos Kazimierza drżał gwałtownie, obfity pot wystąpił na jego czoło, — Henryk Haler ujął jednak szybkim ruchem rękę hrabiego i ściskając ją, mówił:

„Uspokój się pan i bądź tak dobry, wyjawić mi bez ogródek swoje życzenie. Jestem przekonany, że mi pan nic złego ani zbrodniczego nie zaproponujesz, — mów więc pan, — co mam uczynić dla niego.“

„Panie doktorze“, wyszeptał Kazimierz słabym głosem, „proszę o serce mojej kochanki.“

„Serce pańskiej kochanki? — Jak to mam rozumieć?“

Bezgraniczne zdziwienie drżało w jego głosie, — i na chwilę zabłysło w oku lekarza coś jakby podejrzenie. Lecz trwało ono tylko sekundę, Kazimierz bowiem począł mówić cichym, błagającym i pokornym głosem:

„Powiedziałem już panu, że mam zamiar pogrzebać moją kochankę. — Gdy ją widziałem leżącą w trumnie, ogarnęło mnie nagle pragnienie, by zatrzymać dla siebie coś z niej, coś coby mogło być dla mnie wieczną i drogą pamiątką. Postanowiłem więc złożyć jej serce w kosztownym słoiku, — serce, które tchnęło taką miłością i wiernością dla mnie. — Spełń pan moją prośbę, a ja nie omieszkam wynagrodzić pana po królewsku. — O, wiem dobrze, że nie zdołałbym ująć pana pieniędzmi. Lecz przed panem stoi nieszczęśliwy szaleniec, który chwyta się spełnienia tego ostatniego życzenia, jak tonący źdźbła słomy. Panie doktorze, ja muszę posiąść serce mojej kochanki. Przecież wyjęcie serca z tej piersi, w której biło dla mnie taką wiernością, nie sprawi panu trudu ni mozołu. Przecież biedna zmarła nie zostanie przez to obrabowana, — jej serce należy do mnie; ja żądam zwrotu tylko mojej własności.“

„Dobrze, drogi panie“, odparł doktor Haler, „spełnię chętnie pańskie żądanie, jakkolwiek potrzebne by było pozwolenie ze strony policji. Lecz wierzę panu i sądzę, że pan nie stanie się powodem mego nieszczęścia.“

„Tysiączne dzięki, doktorze“, wykrzyknął Kazimierz, ściskając serdecznie dłoń młodego lekarza. „Nigdy nie zapomnę tej przysługi, którą mi pan chcesz wyświadczyć. Lecz, — jak długo będzie trwać sekcja? W kilku minutach będzie prawdopodobnie wszystko załatwione. Serce wezmę ze sobą, zaś zwłoki zabiorą grabarze, celem pochowania ich na cmentarzu.“

„Otwarcie trupa zabierze przynajmniej godzinę czasu“, przerwał lekarz. „Dlatego radziłbym panu opuścić mój dom i zjawić się u mnie za godzinę. — Teraz jest czwarta, — o piątej więc wszystko będzie gotowe. Grabarze niechaj także przyjdą celem zabrania zwłok.“

„Odchodzę, — by się zjawić za chwilę“, odparł Kazimierz. „Wprawdzie nie wyjawiłem panu mego nazwiska, lecz pozwól mi pan pozostać bezimiennym i nie żądaj tego ode mnie. Przysięgam jednak panu, że jestem człowiekiem honoru, który nigdy nie nadużyje pańskiej dobroci. A teraz pozwól pan, że przywołam grabarzy.“

Kazimierz podszedł do okna i skinął na Pifferona i jego syna, by nosze wnieśli do domu. Po chwili grabarze złożyli zwłoki młodej dziewczyny w pokoju na pierwszem piętrze, z którego urządzenia można było wnioskować, że pokój ten służy młodemu lekarzowi jako miejsce studjów i jako miejsce przyjmowania chorych.

Doktor Haler wskazał na duży stół, zajmujący środek pokoju, na którym obaj Pifferonowie złożyli trumnę.

„Przyjdźcie o piątej“, zawołał młody lekarz, zwracając się do grabarzy, „to wam oddam zamkniętą już trumnę ze zwłokami. Zamknę ją bowiem natychmiast po skończonej operacji, gdyż nie życzę sobie, by ktoś miał ujrzeć jeszcze śmiertelne szczątki nieszczęśliwego dziewczęcia. Pan hrabia będzie łaskaw również zjawić się o piątej u mnie celem odebrania wiadomej a tak upragnionej rzeczy.“

„Idę“, odparł Kazimierz; „lecz pozwól mi pan jeszcze rzucić ostatnie spojrzenie na oblicze zmarłej.“

Doktor Haler, podjąwszy wieko trumny, rzekł:

„Pożegnaj się więc pan.“

Lecz w tej samej chwili, gdy spojrzał na leżącą w trumnie, ogarnął go podziw, bo nigdy jeszcze nie widział tak czarującej twarzy dziewczęcia, nigdy nie oglądał zmarłej, któraby zdała się spać tylko, jak właśnie to nieszczęśliwe stworzenie, któremu miał wyjąć serce z piersi, by je uchronić przed rozkładem.

Kazimierz, pochyliwszy się nad trumną, całował czoło i oczy Anielci, lecz ust jej nie miał odwagi się dotknąć, nie chcąc się narazić na szaloną grę straszných złudzeń swojej wyobraźni.

„Żegnaj“, szeptał łkając cichym głosem, „żegnaj, najdroższa! Odchodzisz w dal, lecz najszlachetniejsza część, która w tobie żyła, twoje wierne i pełne miłości serce pozostanie ze mną! A gdy sam umierać będę, wtedy słabnące oczy zwrócę na to twoje serce, — i wyda mi się wtedy, żeś żyła przy moim boku, żeś nigdy nie umarła. — Żegnaj więc nazawsze.“

Kazimierz zatoczył się jak pijany, — jeszcze raz wykrztusił „do zobaczenia!“ i wybiegł z pokoju w towarzystwie doktora.

Pifferoni oddalili się już przedtem.

Przed bramą stał lekarz i młody hrabia.

„A więc o piątej“, rzekł Haler, podając rękę obarczonemu nieszczęściem, „oczekuję pana.“

„Stawię się z pewnością“, odparł Kazimierz. — „Ta myśl tylko nie daje mi spokoju, że twój nóż, doktorze, zanurzy się w tę cudną pierś, która niedawno jeszcze pełna była życia. Lecz zmarli nic nie czują i nie wiedzą, co to znaczy ból i ziemska niedola“.

„Pewnie że nie“, wtrącił lekarz; „cesarzów i królów spotyka ten sam los, co i nas. Gdy sen wieczny zamknie ich powieki, lancet lekarski nie wzdryga się przed ich zwłokami, które mają uniknąć losu zniszczenia“.

„Rozumiem, panie doktorze, i dziękuję za pociechę“, mówił Kazimierz złamanym głosem. „Proszę jednak usilnie z uwagą dotykać mojego ukochanego serca i proszę mi przebaczyć, żem się ośmielił zawezwać pana do tak przykrej czynności“.

„Ja spełniam tylko mój obowiązek, — dowidzenia!“

„Dowidzenia!“ wyszeptały usta Kazimierza i brama zamknęła się za nim.

Jak pijany potoczył się w noc, gorączkując i nie mogąc rozróżnić snu od rzeczywistości.

Idąc przez samotne ulice Paryża, zawinięty w płaszcz, z kapeluszem osadzonym na czole, mruczał jedno i to samo ciągle do siebie:

„Stracona ona jest dla mnie, — nazawsze! Lecz serce jej pozostanie ze mną! — Uratowałem je dla siebie, to biedne, wierne, kochające serce!“ —

LXIII.

Fałszywe serce.

Doktór Haler opuścił bramę i wolnym krokiem zwrócił się ku schodom, prowadzącym na pierwsze piętro, gdy nagle otwarły się drzwi i matka jego, zwracając się ku niemu, zawołała:

„Słyszałam wszystko, drogi synu, cóż poczniesz? Czy rozważyłeś, że możesz popaść w kolizję z kodeksem karnym? — Nie rób mię nieszczęśliwą, — nie czyń nic takiego, coby ci mogło zaszkodzić“.

Doktór Haler położył na ramieniu drżącej kobiety swoją rękę.

„Mateczko droga“, mówił, tuląc ją do siebie, „bądź całkiem spokojna. Za czyn mój mogę śmiało odpowiedzieć przed mojem sumieniem. — Wprawdzie powinienem najpierw otrzymać pozwolenie z policji, nim położę nóż na tem ciele, gdyż nie wiem gdzie, kiedy i na jaką chorobę zmarło to dziewczę. Lecz czy spojrzałaś na twarz tego, który mi zawierzył tę operację?“

„Tajemnicza to sprawa, mój synu!“ odparła staruszka, drżącym głosem, i

to właśnie mi się nie podoba. — Dlaczego przyszedł w nocy, — dlaczego obawia się światła, — dlaczego pragnie, by cała ta sprawa odbyła się jak najprędzej? Mój ty najdroższy, a gdyby to była zbrodnia, do której ty masz przyłożyć rękę? — Czyż nie jesteśmy już dosyć nieszczęśliwi, z powodu hańby ojca, dla której musieliśmy opuścić naszą drogą ojczyznę, by prowadzić tutaj to marne i nędzne życie? Czy chcesz postawić na jedną kartę całą twoją egzystencję?"

„Ależ nie płacz, matko kochana," zawołał Haler, całując jej rzęsy pełne łez. „Wiesz dobrze, że jedną tylko żyję myślą, tj. by czyn mego ojca popadł w niepamięć u ludzi. Dlatego też nie przyłożyłbym nigdy mojej ręki do takiej sprawy, na którą mógłby paść tylko cień podejrzenia.

„To, co chcę dzisiaj w nocy dokonać jest zwykłym obowiązkiem lekarza. — Ów nieszczęśliwy młodzieniec kochał tę dziewczynę, której zwłoki znajdują się obecnie pod naszym dachem. Nim pogrzebie drogie sobie szczątki, pragnie posiąść przynajmniej jakąś pamiątkę. Żąda jej serca! — Życzenie to nie jest nadzwyczajne, — dlatego mogę je spełnić bez obawy. — Teraz zaś pozwól, że się udam do tej pięknej zmarłej, — by dokonać mego dzieła. Stokroć jest łatwiej przyłożyć nóż do ciała człowieka, który nie jest zdolny odczuć bólu, aniżeli zanurzyć lancet w żywe, drżące ciało, którego nerwy niezawsze dają się zupełnie oszołomić, mimo wszystkich środków znieczulających".

Doktór Haler uścisnął rękę swojej matki i wszedł na schody. Gdy już był w połowie piętra, doszedł go głos staruszki:

„Nie mogłabym być ci pomocną? — — Czuję, że nie powinnam cię zostawić sam na sam z trupem".

„Idź spać, w twoim wieku potrzebujesz snu, — a zmarła przecież nie będzie mi stawiać oporu, — i dlatego nie potrzebuję pomocy".

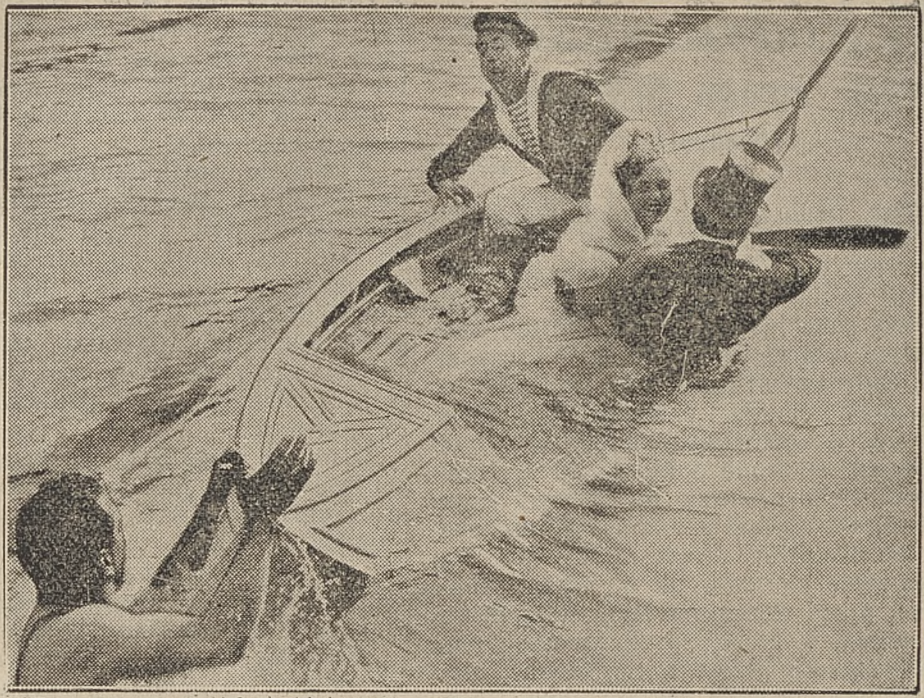
Drzwi na piętrze już się dawno przymknęły, — stara kobieta stała jednak ciągle u stóp schodów, — złożyła ręce na piersi i szeptała:

„Drogi Boże, weź w opiekę dziecko moję; nie wódź go na pokuszenie i nie pozwól, by go oplątały sieci nieprzyjaciół. — Dałeś mi go jako pociechę w tem bezbrzeżnem cierpieniu, jakie przeżyłam na tej ziemi, — nie wydzieraj mi więc tej ostatniej pociechy. I myślę, dobrotliwy Ojcze w Niebiesiech, że nic takiego nie uczynisz, że wszystko skończy się jak najlepiej, boś jest wielkim i sprawiedliwym — amen!"

Z głową zwieszoną na piersi udała się do swojej sypialni.

Lecz nie kładła się do łóżka. Wziąwszy starą biblję umieszczoną pod szklanym kloszem na staroświeckiej komodzie, rozłożyła ją na stole i czytała ewangelję o Chrystusie, który wskrzesił córeczkę Jaira.

Młody lekarz udał się tymczasem do swojej pracowni. Podniósł story w obu oknach, sądząc, że snop światła księżycowego, wpadającego do pokoju, odda mu lepsze usługi, aniżeli słabo paląca się lampa.



Pewna para małżeńska, wprost od ślubu udała się w „podróż" łódką po Sekwanie, w Paryżu. Goście weselni, którzy towarzyszyli młodej parze w kostjumach kąpielowych, zanurzyli ją w wodzie, w pełnych strojach weselnych, udzielając małżonkom „chrztu ślubnego". Na zdjęciu widzimy moment przewracania łodzi z nowożeńcami.

Otworzywszy małą szafkę, wyjął z niej parę noży, położył je obok na małym stoliku i przystąpił do trumny.

I znowu nie mógł oderwać się od czarodziejskiego wdzięku, który zawisł na twarzy zmarłej.

„Co za cudowne oblicze", szepnął Haler, oglądając tę główkę, okoloną ciemnem zwojem włosów, rozumiem teraz żądanie tego mężczyzny, który postradał ten skarb. Czem była ta dziewczyna w jego życiu, kochanką czy narzeczoną — z pewnością nigdy jej nie zapomni. — Dziwne, nie doznałem nigdy tego uczucia, które ludzie nazywają miłością. Dotychczas nie potrafiła żadna kobieta poruszyć mojem sercem. Lecz gdy patrzę na tę zmarłą, to zdaje mi się, jakoby w duszy mojej poruszyło się naagle coś równającego się tęsknocie za ukochaną istotą.

„Precz, wy niedorzeczne myśli" zawołał lekarz, przecierając sobie równocześnie oczy palcami; „przecież to trup tylko, który wkrótce zniknie pod ziemią. — Lecz nawet gdyby tak nie było, — gdyby dziewczyna ta stanęła przedemną, pełna wdzięków życia, — to przecież należy do innego, — moją więc nie mogłaby zostać. — A teraz do dzieła, — wkrótce zakończę smutną moją czynność".

Pochyliwszy się, wyjął ostrożnie zwłoki z trumny, którą umieścił następnie pod stołem.

Wdzięczną zaś postać kobiety, bez życia i sztywną, umieścił ostrożnie na płycie stołu.

Lecz o dziwo, nie mógł znieść, by leżała na twardym stole, nie mając miękkiej poduszki pod głową.

Pobiegł więc ku sofie, wziął jedną z poduszek zdobną w wspaniałe hafty i złożył na niej głowę zmarłej, by mogła miękko leżeć.

Nieszczęśliwa odziana była tylko w długą, białą koszulę, gdyż Pifferon i jego syn zrabowali wszystkie suknie ze zwłok, które znaleźli na brzegu Sekwany.

Lekarz otworzył koszulę na piersi, — a uczucie czystej moralności, towarzyszyło jego ruchom, — i nie obnażył całej górnej części ciała, jakto właściwie wymagała jego czynność. Odsłonił tylko dziewicze piersi, — miejsce, gdzie miał zapuścić nóż, by się dostać do serca.

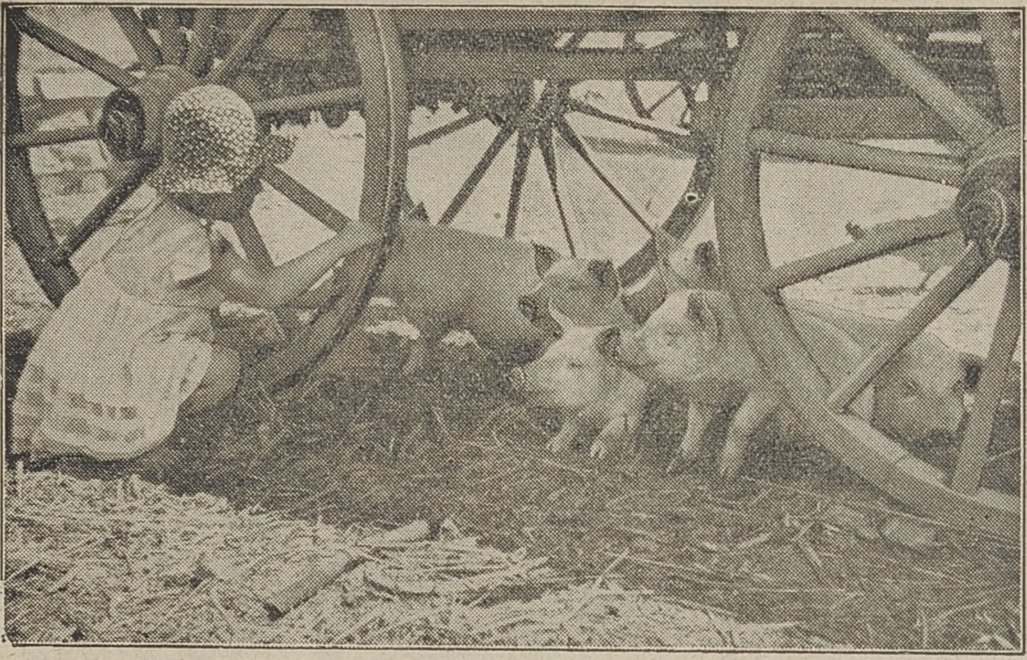
Gdy jednak zobaczył wdzięczną okrągłość tych piersi, — gdy patrzył na szlachetne zaokrąglenie ramion i na słodkie formy rąk, — gdy podniósł jedno z ramion i ujrzał zachwycające zagłębienie pokryte miękkim puchem, drżenie objęło całą jego postać i ręka, trzymająca nóż, opadła bezwładnie.

„Śliczna jak sen!" szeptał lekarz, patrząc załzawionem okiem na zmarłą, „czyż te wdzięki muszą zwiędnąć, — a piękność zmarnieć w ziemi? — Los przecież jest strasznym, — najpiękniejsze kwiaty ścina! — Biedne dziecię, a może ty potrzebujesz spokoju, może burze życiowe zanadto kołysały tobą! Może śmierć jest twoją zbawczynią, — może sama pragnęłaś śmierci, by na jej lodowatej piersi znaleźć schronienie przed ludzką srogością. — Więc pokaż się, biedne serce, któreś miłość i troskę żywiło, któreś doznało może najwyższych rozkoszy ludzkości, najgorszych zawodów i bezgranicznych zwątpień. Teraz nie bijesz już więcej; jesteś tylko zimną, sztywną masą.

„Lecz dla tego, który cię pokochał gorącą miłością, pozostaniesz zawsze świętą relikwją."

Młody lekarz skierował nóż ku piersi dziewczyny, ostrze przecięło już delikatną skórę, lecz nagle zadrżała mu ręka, gdy miał wykonać główne cięcie.

Haler odłożył nóż, — wahał się chwilę, — zdało mu się, że nogi odpowiadają mu posłuszeństwa, że musi upaść na ziemię.



Przemila, prawdziwie sielankowa scena z wiejskiego podwórza.

Lecz w najbliższej sekundzie przyszedł do siebie. Nóż, leżący obok niego, odrzucił w kąt, — pochylił się nad tem pięknem a nieszczęśliwem obliczem i zawołał drżącym głosem:

„Boże litościwy, — ta, w której piersi chciałem zanurzyć lancet, nie jest umarłą, nie jest trupem, — nie, nie, — oszukano mnie nikczemnie, — żywą przyniesiono mi w trumnie, — lecz cicho, — muszę się przekonać, czy mnie zmysły nie mylą, czy rzeczywiście bije jej serce.

Henryk Haler zniżył swą głowę na spoczywającą postać, — przyłożył ucho do alabastrowej piersi Anielci, — i zatrzymawczy oddech, słuchał...

„O bij, bij, biedne serce!“ szeptały jego blade wargi, „daj się słyszeć, — zgłoś się, o serce, przeznaczone już na zniszczenie, — jedno tylko uderzenie, — jedyne, — a dowiem się, czy w tem cudnem łonie jest choćby iskierka życia. — Sza, cicho, — co za szczęście i błogość, — bije i pracuje w swoich komórkach. — Ciche są to uderzenia, które dolatują moich uszu, lecz są one tonem życia i nadziei, oznaką powrotu do życia.“

Nagle odskoczył i gwałtownie zwrócił się do drzwi, a otworzywszy je, zawołał donośnie:

„Matko, matko, — przychodź, — prędko, — ona żyje — ona —“

Młody lekarz przerwał, — głosu nie mógł wydobyć ze siebie, gdyż myśl, którą chciał ubrać w słowa, wydała mu się za śmiałą, by ją wypowiedzieć.

Matka Halera biegła z pośpiechem, o ile pozwalały na to jej stare nogi. Zobaczywszy swego syna ciężko oddychającego, zawołała z przerażeniem:

„Henryku, co się stało? — Wyglądasz tak blado, jakbyś zobaczył upiora.“

„Widziałem go, matko!“ wyrzekł z trudnością młody doktor, „zobaczyłem człowieka, cudne dziewczę, które wydarło się śmierci, mając jeszcze prawo do życia, słońca i szczęścia. — Matko, ta nieszczęśliwa, którą mi przyniesiono, bym jej wyjął serce, — żyje —“

„Żyje!“ krzyknęła staruszka, podnosząc ręce, jakby chciała się bronić, — „wszelki duch Pana Boga chwali! Jeżeli mówisz prawdę, to cię oszukano i chciano cię zrobić mordercą. Liczono na ciemność nocy, na zaspanie i na prędkość operacji, — sądzono może, że nie badając rozetniesz pierś tego biednego stworzenia. — Boże, wysłuchałeś więc moją prośbę. — Ochroniłeś mego syna, odwróciłeś straszne niebezpieczeństwo od niego, w które miał popaść! Boże Wieczny, pochwalone niech będzie Twoje imię po wszystkie czasy, —

„Masz słuszność, mamo“, odparł lekarz stłumionym głosem, „zgadzam się zupełnie z tobą. Drżę na samą myśl, jak łatwo mogłem paść ofiarą tej podłej intrygi. Lecz nie traćmy czasu, — trzeba ją ratować! Gdybyś wiedziała, matko, jak piękną jest ona! Jedno spojrzenie na tę słodką twarzyczkę wystarczy, byś się przekonała, że musi być czystym aniołem. — Chodź i pomóż mi złożyć ją na wygodnem łóżku, — nie wiem bowiem, czy zdołam przywrócić ją do życia. Słyszałem tony jej serca, podobne do dźwięku srebra, — spiesz się, chodź prędzej, — droga matko!“

Ujął pod ramię sędziwą staruszkę i zaprowadził ją do stołu, na którym leżało jeszcze ciągle nieruchomo piękne dziewczę.

„Rzeczywiście, cudną jest jak anioł“, zawołała pani Haler, „lecz bladą jak kreda! Wygląda, jakby była umarłą. Spiesz się, mój synu, zanieś ją na dół do mojej sypialni, — gdzie ją złożymy do łóżka. Może nam się powiedzie nasz dobry uczynek. Wierz mi, mam przeczucie, że uratujemy tę dziewczynę.“

Po chwili doktór Haler niósł cudowne stworzenie po schodach, — trzymając je w swoich objęciach; główka jej okolona pięknym włosem, sparła się na jego piersi. Prawą ręką otoczył jej oblicze, jakby chciał ją ochronić, by promień lampy, którą matka za nim niosła, nie sprawił jej przykrości.

Staruszka potrząsała głową, idąc za synem, — nie widziała go jeszcze nigdy w takim stanie.

Cicho i spokojnie żył dotychczas przy jej boku. — Nigdy nie okazał żywszego zainteresowania się jakąś kobietą, z którą spotkał się na drodze życia.

Pani Haler wątpiła nawet, czy jej syn pozna kiedyś miłość. Z tego powodu czuła się często nieszczęśliwą. Dlatego prosiła gorąco Boga, by sprowadził go na owe ścieżki, które prowadzą do serca i miłości.

Czyżby przypadek zesłał upragnioną córkę w ten dom?

Staruszka nie miała odwagi, odpowiedzieć sobie na to pytanie. Dotychczas nie znała tej obcej, — nie wiedziała nic o niej, — dziewczyna ta zjawiła się w jej domu wśród tak niezwykłych okoliczności, że łatwo mogła przypuszczać, że straszna jakaś tajemnica związana jest z jej losem. Jednym rzutem oka poznała pani Haler, że dziewczę jest niewinne, czyste i bez skazy, że nie brała udziału w tej strasznej zbrodni, będąc tylko pożałowania godną ofiarą.

Wkrótce piękna nieznajoma leżała na miękkiem posłaniu przykryta kołdrą. Doktor udzielił swojej matce kilka wskazówek, dotyczących pielęgnacji tej niby umarłej.

W czasie, gdy lekarz opuścił sypialnię, by przynieść ze swojej pracowni parę nowych lekarstw, stara matrona nacierała stopy nieszczęśliwej ciepłemi chustami, później zaś całe ciało, by w ten sposób zmusić krew do krążenia w żyłach.

Po chwili ukazał się na progu Haler z małą flaszeczką w ręce, i napełniwszy jej zawartością parę łyżek, wlał orzeźwiający płyn w usta nieruchomej dziewczyny.

„Matko“, zawołał, promieniejąc szczęściem, „serce bije już silniej, puls poczyna się ruszać, — sztywność znika! — Matko, uratujemy ją, — będzie zdrowa, — zmartwychwstanie!“

Bez wytchnienia ratowali oboje Anielcię, — i wreszcie, po pół godziny rzekł doktór matowym głosem:

„Mamo, sztywność znika, — wszystkie organa poczynają pełnić swoje czynności, — patrz, widzisz jak te ciemne jedwabiste rzęsy się poruszają, — oczy podnoszą się, — budzi się, — za chwilę będzie mówić.“

„Cóż jej odpowiemy?“ pytała staruszka, „gdy nas zapyta, skąd się wzięła w naszym domu? Przecież prawdy nie możemy jej powiedzieć, że przyniósł ją tutaj szubrawiec, celem zamordowania.“

„Na Boga, ani słowa o tem“, odparł Haler, „zdarzenie to musi pozostać dla niej tajemnicą, przynajmniej tak długo, dopóki znajduje się między życiem a śmiercią.

„Lecz, cicho, — porusza się, — patrz, mamo, — patrzy na nas, — a co za oczy, — co za cudne oczy!“

I rzeczywiście w tej chwili odsłoniły się dwie bajeczne gwiazdy, — i zdało się, jakby ciemny całun śmierci, leżący dotychczas na tem bladem obliczu, zniknął spłoszony blaskiem tych dwóch oczu.

Piękne dziewczę patrzało na sędziwą kobietę, potem zwróciło swój wzrok na lekarza, wreszcie potrząsnęło główką, jakby nie mogło zrozumieć, gdzie się właściwie znajduje. Ściągnęła następnie

swoje brwi, — widocznie myślała, w jaki sposób się tutaj dostała.

„Gdzie jestem?“ zapytała cichym głosem, który spłynął z jej ust jak powiew wiosenny, „nie jestem umarłą, — nie leżę na dnie Sekwany, — czyż wszystko jeszcze nie minęło, — i czyż nie mam doznać wreszcie spokoju, ciszy i zapomnienia?“

„Pani znajduje się u zacnych ludzi“, odparł młody lekarz, „proszę na miłość boską się nie obawiać, i nie niepokoić. Potrzebujesz pani snu, śpij więc, — a my będziemy czuwać przy tobie!“

„U zacnych ludzi?“ wyszeptały cicho jej blade wargi, „o gdybyż to było prawdą, — czuję się tak zmęczoną, — pragnę snu, — zdaje mi się, jakbym dnie całe wędrowała po olbrzymich pustyniach i patrzała w oblicze śmierci. — Spać? O tak, bo sen to zapomnienie.“

I głowa, wzniesiona nieco nad poduszkami, opadła z powrotem, w tej samej chwili zamknęły się jej powieki, zasłaniając anielskie oczy pięknej dziewczyny.

Przez kwadrans syn i matka stali bez ruchu. — nagle Haler ujął rękę staruszki i cisnąc ją do ust swoich, szeptał:

Doktór dał znał swojej matce, by się nie poruszała, by zachowała się cicho, wiedząc aż nadto dobrze, jak dodatnio może wpłynąć pokrzepiający sen na stan biednej ofiary.

„Patrz, matko, jak miarowo faluje ta śliczna pierś, — to sen, — a sen zwiastuje nam w tym wypadku ratunek, uzdrowienie. — Zostawmy ją samą, — będzie spać, może dnie całe. W tym śnie przejdzie kryzys tej choroby, gdyż co do tego nie możemy się łudzić, że jest chorą, bardzo chorą i że potężne wrażenia wstrząsnęły jej piersią. Te parę słów, z któremi się do nas zwróciła, dowodzą, że musiała cierpieć i że może sama pragnęła zakończyć swe życie. — Musimy ją ochronić przed gołąbką nerwową, co, oby nam się powiodło. Jeżeli kiedy, to dziś muszę wyrwać to życie ze szponów śmierci, i walczyć o nie całą moją siłą. — Nie napróżno zesłał nam Bóg tę nieszczęśliwą istotę. Powołał nas, byśmy strzegli jej życia, co też uczynić musimy.

„A teraz chodź“, dodał Henryk, prowadząc swoją matkę wolno ku drzwiom, „bo musimy załatwić jeszcze ważną sprawę. Zegar ukazuje na w pół do piątej. Za pół godziny zjawia się grabarze, by zanieść trupa na cmentarz. Nie powinni się ani dowiedzieć, że ta, którą mieli za zmarłą, przyszła u nas do życia. Musimy ich matko oszukać, — co, jak mam nadzieję, — nam się powiedzie. Powiedziałem im bowiem, że z rąk moich dostaną zamkniętą już trumnę. Rozchodzi się więc o to, by utrzymać ich w tej wierze, że w trumnie znajdują się zwłoki.“

„To najłatwiejsze“, odparła matka, „trumnę obciążymy różnemi rzeczami, i grabarze nie zauważą, żeśmy ich w pole wywiedli. Trudniejsze jest jednak pytanie, jak masz postąpić z tym mężczyzną, który się również zjawi o piątej, celem odebrania serca.“

„Najchętniej oddałbym tego łotra w ręce policji“, zawołał Haler i w oczach



Znany poeta niemiecki Hans Grimm zaprosił w tych dniach do siebie wszystkich poetów zbliżonych mu duchem. Przy udziale kilku tysięcy słuchaczów Rudolf G. Binding odczytał na dziedzińcu klasztoru w Lippoldsberg piękną legendę. Poetę Grimma widzimy w pierwszym rzędzie po lewej stronie.

jego zabłysnął płomień szlachetnego gniewu, „jeżeli zaś tego nie uczynię, to wymierzę mu tą pięścią policzek mówiąc: jesteś pan skończonym szubrawcem.“

„Nie czyń tego, proszę cię“, zerkła staruszka, „nie rób sobie nieprzyjaciół. — Ów obcy wygląda mi na znaczną osobę, i gdy uprzytomnię sobie jego twarz, to nie mogę pojąć, jak można wyglądać tak szlachetnie a równocześnie być tak zepsutym i nikczemnym. Niestety, iluż ludzi spotykamy na każdym kroku, którzy pod fałszywą maską ukrywają swe myśli. — Nie zdradź się przed tym człowiekiem, co zaszło tutaj w jego nieobecności i pozostaw go w tej wierze, że zwłoki spoczęły na cmentarzu Montmartre. Lecz co do serca —“

„To go oszukamy, podobnie jak on nas chciał oszukać!“ wtrącił młody lekarz donośnym głosem: „Dam mu wprawdzie serce, lecz nie to, które pragnął posiąść!“

Matka i syn skierowali swe kroki ku pracowni i po chwili wypełnili trumnę różnymi przedmiotami, równającymi się ciężarowi ciała młodej dziewczyny. Trumna nie była jeszcze szczelnie zawarta, gdy doktór, wkręcając ostatnie metalowe śruby w twarde drzewo, posłyszał pukanie. Pani Halerowa podbiegła ku oknu i zawołała:

„Spiesz się, — grabarze stoją już pod bramą.“

„Niech wejdą!“

Po chwili zjawili się Pifferonowie, ojciec z synem, i podnieśli trumnę.

„Słuchajcie, dobrzy ludzie“, przemówił lekarz, gdy już mieli zamiar wynieść trumnę, „mam jeszcze wam coś powiedzieć, czego nie godzi mi się przed wami zataić. Czy wiecie, na co zmarła ta biedna ofiara, spoczywająca w tej trumnie?“

Stary Pifferon spoglądał z niedowierzaniem na doktora, a krzywonogi Ludwik mimowoli odstąpił parę kroków od nosz, na których spoczywała trumna.

„Nie wiem, w jaki sposób przyszliście do tego trupa“, ciągnął dalej Haler, „lecz mogę was zapewnić, że nieszczęśliwa umarła na nierozwiniętą jeszcze zupełnie czarną ospę. Badałem jej krew i znalazłem niezbite dowody tej strasznej i zaraźliwej choroby.“

Grabarz i jego syn cofnęli się raptownie wstecz, — niedużo brakowało, a byliby uciekli.

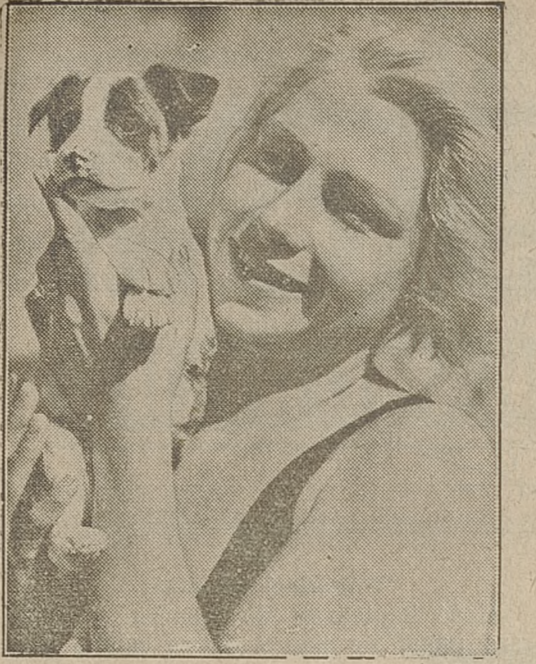
„Do licha“, krzyknął stary, a na jego twarzy malowała się trwoga i przerażenie, „któżby był sobie pomyślał! — A myśmy dotykali się trupa, kładąc go do trumny. Do djabła, możemy się jeszcze zarazić.“

„Bardzo możebne“, odparł Haler na pozór obojętnie, „gdyż choroba ta jest zaraźliwa jak dżuma, która nagle i podstępnie spada na człowieka.“

„Ojcze“, zawołał Ludwik, trzęsąc się, „zdaje mi się, żem się zaraził. Stary, ja umrę.“

„Tchórzu“, krzyknął Pifferon, „czyż ja miałem mniej do czynienia ze zwłokami, aniżeli ty. Obaj pójdziemy do piekła, jeżeli już tak być musi.“

„Nie potrzebujecie się znów tak obawiać“, uspokajał doktór Haler obu mężczyzn, „jestem tego zdania, że jeżeli dotychczas jesteście zdrowi, to później nie okażą się prawdopodobnie symptoma tej strasznej choroby. Lecz dam wam dobrą radę, — nie odważcie się odbijać trumny, starajcie się tylko o ile możności jak najprędzej zasypać zwłoki ziemią.“



Czworonożna maskotka, mały buldoczek, którego zabiera mistrzyni świata w pływaniu — Amerykanka Dorota Poynton na Olimpjadę w r. 1936 do Berlina.

„Panie", zawołał Pifferon, „tak szybko nikt nie będzie jeszcze pochowany, jak ta kobieta. Grób jest już wykopany, — trzeba tylko trumnę spuścić, — i ziemią przysypać ile tylko się da. W pół godziny wszystko będzie gotowe. — Chodź Ludwiku, byśmy wcześniej zdążyli do domu. Nie dziwię się, że pan doktór nie chce mieć dłużej tych zwłok pod swym dachem.

Grabarze podnieśli nosze; można było zauważyć, że się zmuszają do tego. Utykali po schodach pod ciężarem trumny, tak że Ludwik o mało co nie złamał sobie nogi. Gdy wyszli na ulicę, biegli co tchu, jakby ziemia paliła ich stopy.

„Ci z pewnością nie otworzą trumny", rzekł Haler do swojej matki; „bądź tak dobrą i udaj się do naszej chorej. Może jesteś zmęczoną, lecz mimo to muszę cię prosić, byś jej nie odstępywała, gdyż ja mam jeszcze ważną sprawę do załatwienia. Gdy ów nieznajomy, który chciał mnie zrobić przestępcą, nadejdzie, nie mów z nim, tylko poślij go do mnie, — ja się już z nim załatwię".

Staruszka oddaliła się; słyszała tylko, jak jej syn zasunął za nią rygiel. Chciał widocznie być sam.

Przyszedłszy do sypialni, zastała młode dziewczę, w tak cudowny sposób wydarte śmierci, pogrążone w głębokim, twardym śnie, — i patrząc na to anielskie oblicze, szeptała do siebie:

„Dałby Bóg, żeby z tobą szczęście przyszło do naszego domu".

W kwadrans później rozległ się głos dzwonka.

„Któż to?" zawołała staruszka, biegnąc otworzyć bramę.

Był to młody hrabia, który po bezcelowem błąkaniu wracał, by wziąść serce swojej kochanki, serce, które miało stać się dla niego jedyną pamiątką po Anielci.

Z giestu pani Haler Kazimierz zrozumiał, że lekarz oczekuje go w swojej pracowni.

Wszedł na schody, — lecz musiał się trzymać poręczy, by nie upaść na ziemię.

Kazimierz był całkiem wyczerpany, — jego system nerwowy wypowiadał mu służbę, — drżał cały, — i czuł, jak na przemiany lodowate zimno, to palący żar przebiegał jego ciało.

Ileż wycierpiał w tych ostatnich dwóch godzinach, błądząc po ulicach Paryża! Najgorsze było, że nieznana jakaś moc parła go ciągle do tego mostu, z którego Anielcia rzuciła się w objęcia śmierci. Ogarniał go wstręt na widok tego nieprzyjemnego miejsca. Lecz nie mógł przezwyciężyć w sobie pragnienia, by nie zobaczyć owego miejsca. Gdy znalazł się na moście i zauważył kroczącego policjanta, poprosił go, by mu wskazał miejsce, z którego Anielcia rzuciła się w zimne fale.

Oparty o balustradę mostu, stał i patrzał na toczące się cicho czarne nurty. Zdawało mu się, jakby widział Anielcię, porwaną biegiem rzeki, wypływającą raz na powierzchnię, lub znikającą we fali. Nagle porwała go nieprzezwyciężona chęć rzucenia się na dno Sekwany, aby znaleźć spokój i zapomnienie.

I tylko myśl, że tam nie znajdzie Anielci, powstrzymała go od tego strasznego kroku.

Obecnie był w domu lekarza i stał przed jego drzwiami, za któremi musiało się dziać coś strasznego. Za parę minut zobaczy serce Anielci. Kurczowy ból przeszył mu pierś na tę myśl. Zdawało mu się, że jego trwożliwie bijące serce pęknie z bólu.

Kazimierz wyprostował się nagle, — nie chciał okazać się słabym przed doktorem, — którego błagał, by mu dał serce kochanki.

Drzwi otwarły się, Kazimierz wszedł. Na dworze świtało. Niepewno światło wczesnej jutrzenki, wkradające się do pokoju, bieliło blade i zmęczone oblicze Kazimierza.

„Już — wszystko — skończone?" zapytał stłumionym głosem.

„Tak!" odparł doktór Haler, unikając wzroku Kazimierza, którego uważał za oszusta.

„A — zwłoki?"

„Odniesione na cmentarz Montmartre".

„A — serce, — jej serce?" wykrzyknął Kazimierz, „gdzie — gdzie?"

„O to jest".

Słowa te spadły na Kazimierza, jak uderzenia bicza, doktór zaś postąpił ku małej szafce, — otworzył ją, — i w następnej chwili zabłysło w jego ręce podłużne szkło, w którem drżało czerwone jak krew ludzkie serce.

„Proszę wziąć!" zawołał doktór Haler, podając Kazimierzowi słoik. „Bierz pan, — i oddal się pan".

Kazimierz zatoczył się przed siebie, — jego ręce chciały uchwycić flakon, — lecz brakło mu sił, — ramiona opadły nagle, z osłabienia upadł na kolana z głuchym, złamanym jękiem.

Głowa mu zwisła, — sztywnym wzrokiem patrzał przed siebie, jakby nie mógł oderwać swoich oczu od tego skarbu poruszającego się w słoju pełnym jasnego płynu, ręka doktora drżała bowiem coraz silniej.



Lotnicy, bracia Key, w stanie Missouri (Am. Półn.) pobili rekord światowy długotrwałości lotu, przebywając w powietrzu już 554 godziny 41 minut.

„Więc bierz pan", wymówił gwałtownie doktór Haler, „życzenie pańskie zostało spełnione. Kosztowało mię dużo trudu, gdyż w duszę moją zakradły się ciężkie podejrzenia. Odejdź pan, nie żądam ani podziękowania, ani zapłaty. Lecz spiesz się pan i opuść już raz mój dom".

Nieludzki krzyk wydarł się z gardła Kazimierza. Jednym ruchem podniósł się ze ziemi i wyrwał naczynie szklane z ręki lekarza, cisnąc je do swych warg.

„Moje drogie serce, mam cię więc", wołał nieszczęśliwy hrabia z obłąkanym śmiechem, „wezmę cię ze sobą najukochańsze i niezapomniane! Haha, niechaj spróbuje kto wydrzeć cię z rąk moich! Z inną wprawdzie mię złączono, — ona nazywa mnie swoim mężem, — lecz ja należę tylko do ciebie, o drogie udręczone serce, z tobą chcę być tylko! — Dla innej czuję chłód i pogardę, — dla ciebie miłość i uwielbienie aż do ostatniego tchu życia!"

Kazimierz zwrócił się ku drzwiom, — z flakonem w ręce. Na progu zatrzymał się jednak i zwracając swą bladą twarz ku lekarzowi, mówił:

„Doktorze, — nie popełniłeś pan wcale zbrodni, — ani nie dopuściłeś się kradzieży na zwłokach, gdyż to serce należało do mnie już wtedy, gdy jeszcze biło, — gdy jeszcze pełne było miłości, uciechy, tęsknoty i cierpień, — moje ono było w każdem swojem uderzeniu. Dlatego należy teraz do mnie, gdy umarło i wyziębło, — to serce mojej kochanki!"

Lekarz stał osłupiały. — Słowa, pełne dzikiej namiętności, spadające z warg Kazimierza, obaliły wszystkie jego podejrzenia, które kiełkowały na dnie duszy. Zdawało mu się, jakby zasłona, zakrywająca jego oczy, nagle opadła, odsłaniając nieznane mu stosunki.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

HUMOR

Mądry papa

— Czas już, moje kochane córki — mówi papa Kuszpietowski — abyście poszukały sobie mężów. A wy, — zwraca się do synów — mam nadzieję, że nie będziecie takiemi durniami, żeby się żenić.

Sport

— Dlaczego Stadjoński tak upadł materjalnie?
— Wypisał się z maratońskiego klubu sportowego i teraz nie zarabia ani grosza.

Wyjazdy na letnisko w r. 1935

— Gdzie spędzi pan w tym roku urlop, panie Stefanie? Zapewne pan znowu wyjedzie na Hel?
— Ja wyjadę? Człowieku, przecież ja nawet nie mam pieniędzy, ażeby zostać w domu.

Głupia formalność

Nadarzyła się odpowiednia chwila. Więc pan Filip zbiera się na odwagę, podchodzi do ojca wybranki swego serca i powiada:
— Wprawdzie jest to tylko głupia formalność, ale chcąc być zupełnie w porządku, proszę pana o rękę pańskiej córki...
— Przepraszam pana... — oburza się ojciec. — Któż to panu powiedział, że to jest „głupia formalność?"...
— Pańska szanowna małżonka...

Czwarty do brydża

Henio był zapalonym brydżystą. Wszędzie szukał czwartego do brydża. Manja zamieniła się w obłąkanie i biednego Henia umieszczono w szpitalu dla warjatów.
Ale i tam Henio nie zapomniał o swym nałogu i dobierał partnerów. Pewnego dnia udało mu się już dobrać dwóch graczy: Juljusza Cezara i Napoleona.
W tem widzi zbliżającego się dżentelmana.
— Henio jestem... — przedstawia się. — Z kim mam przyjemność?
— Henryk VIII-my... — przedstawia się dżentelman.
— Znowu nic z tego... — woła rozczarowany Henio. — Szukam czwartego...

Zagadka

— Co to jest? Ma dwa skrzydła, dwadzieścia dwie nogi, jedenaście nosów i biega po polu?
— ? ? ?
— Drużyna piłkarska.

Wesołek

Rzecz dzieje się w tramwaju. Jakiś pan nadepnął jakiejś pani na nogę.
— Gbur! Gdzie się pan chował?! — woła dama.
— Przed komornikiem. W szafie!

W gimnazjum kupieckiem

— Co to jest szewiot?
— Nie wiem, panie profesorze.
— A z czego zrobione są twoje spodnie?
— Ze starych spodni mojego ojca, panie profesorze.

Wspólność myśli i czynów

— Stanowczo twierdzę, że niema na świecie dwóch ludzi, mających jedne i te same myśli!
— Tak uważasz? Zobacz tylko nasze prezentą ślubne! Same sitka do herbaty!

W szkole

Nauczyciel wykłada dzieciom o winie i karze, poczem daje popularny przykład:
— Przechodzę naprzykład przez las. Napada mnie bandyta i zadaje mi parę ciosów w głowę, raniąc mnie dotkliwie. Jakież z tego wynikną konsekwencje?
Dzieci krzyczą chóralnie: — Parę dni wolnego, panie profesorze! Hurra!



... To prawda, że nie potrafię doskonale grać, ale przynajmniej żaden wróbel nie odważy się zakraść do mego ogrodu.

Ubogo, ale chędogo

— Proszę pomarańcz!
— Na wagę, czy na sztuki?
— Na kredyt, jeśli łaska!

Właściwa ocena

— Tatusiu, co to są Wandale?
— To był taki naród, który niszczył wszystkie napotkane zabytki sztuki, zanim jeszcze zabrali się do tego archeologowie.

Przemiana materji

Pan Jabłuszko wpada jak bomba do pralni chemicznej, rzuca na ladę paczkę i woła z oburzeniem:
— To skandal! Ładnie wy tu pierzecie, niema co! Niech pan to zobaczy!
— No cóż pan chce? Koroneczka pięknie wyszła.
— Koroneczka? Koroneczka? — ryczy pan Jabłuszko. — To był mój letni garnitur!

To jest ogłoszenie

„Dama, piękna, inteligentna, biedna — poszukuje znajomości z panem o wprost przeciwnych właściwościach w celu matrymonjalnym."

Jak łgać — to zdrowo

Wiadomo, jakie tego roku było lato; poprostu lało wszędzie przez cały czas z małemi przerwami. To też ludzie, którzy popowracali z letnisk, urozmaicają sobie wspomnienia z wakacyj przesadnem opisywaniem klęsk, które przeżyli na wsi wśród deszczu.
— Moja pani — mówi pani Kolosznicka — przecież wie pani, że u nas tak lało, że grzyby powyrastały w naszym pokoju wprost z podłogi...
Pani Gęsikiewiczowa, która była nad morzem, nie chce pozostawać w tyle i ze swej strony dorzuca też coś równie prawdziwego:
— A u nas, proszę pani, tam, nad wielkiem morzem — to po deszczu flądry wskakiwały przez próg do pokoju.
Pan Kaczorski, który przysłuchuje się temu, uzupełnia obraz:
— A u nas, wiedzą panie, co było? Ludzie w kostjumach nurków pukali do okien i pytali się, czy to tutaj jest zatopiona Atlantyda!...

Wygodniś na plaży

Gość kąpielowy do trenera: — Proszę pana, ile pan żąda za naukę pływania?
— Za cały kurs 20 złotych.
— Proszę pana, ileby to kosztowało, gdyby pan przyszedł do mnie do domu?

Zmaterjalizowana młodzież

— Pocałuj cioteczkę, moje dziecko, dostaniesz 50 groszy!
— O ile dostanę zgóry pieniądze, to pocałuję, bo nie myślę bezinteresownie się poświęcać. Wczoraj obiecano mi również 50 groszy za wypicie obrzydliwego lekarstwa, a do tej pory nie dostałem ani grosza.

Hollywood

— Już teraz pani lepiej gra, ale to nie tak, jak być powinno — mówi reżyser do gwiazdy filmowej.
— A cóż mi pan może jeszcze zarzucić?
— Widzi pani, tę scenę umierania gra pani za blado... trzeba dodać życia... więcej życia.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8
Telefon 32
Rękopisów nie zwraca się.
P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy, szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.